REFLEKSJE

MAGAZYN AKTUALNOŚCI WSPÓŁCZESNYCH

PUBLICYSTYKA LITERATURA, SZTUKI PIĘKNE
SPRAWY SPOŁECZNE, AKADEMICKIE
GOSPODARCZE, TECHNICZNE
SPORT, ROZRYWKI
HUMOR



146

Kwiecień, maj, czerwiec 1938.

Wychodzi co kwartał. Cena 2 zł.

TREŚĆ:

Nr 1 Układ graficzny: Kazimierz Ropelewski Rok I.

REFLEKSJE

Magazyn aktualności współczesnych

pod redakcją Adolfa Gawalewicza

Kraków, — Poznań, — Warszawa, — Lwów, — Wilno, — Lublin.



OD REDAKCJI

Oddając naszym Szanownym Prenumeratorkom i Prenumeratorom, Czytelniczkom i Czytelnikom pierwszy numer naszego kwartalnika, pozwalamy sobie przedstawić Państwu pewne wytyczne naszej pracy redakcyjnej na przyszłość. Czynimy to nie dlatego, ażeby w ten sposób zapełnić wolne miejsce — jak zapewne powiedzą dowcipni krytycy, ale z tej prostej przyczyny, że wzorem wielkich magazynów amerykańskich zamiarem naszym jest pozostawać w jak najściślejszym kontakcie z naszymi Czytelnikami — wynika bowiem z tego korzyść zarówno dla Czytelników jak i dla redakcji: Czytelnicy znajdują w piśmie to co Ich interesuje, redakcja wie co spotka się z zainteresowaniem. Dlatego też bardzo prosimy wszystkich Państwa, ażeby zapoznawszy się z niżej przedstawionymi przez nas kierunkami naszej pracy, byli łaskawi wypowiedzieć się listownie pod adresem naszeji redakcji, za co będziemy niezmiernie wdzięczni.

„Refleksje", jak większość magazynów aktualności będą się składały z szeregu działów, wyodrębnionych stosownie do treści omawianych w nich tematów. I tak kolumna redakcyjna będzie zawierać sprawy dotyczące wspólnych interesów Czytelników i redakcji, będzie właśnie poświęcona owemu wyżej wspomnianemu, bezpośredniemu kontaktowi Czytelnika z naszym pismem. W niej będą także podawane wiadomości o konkursach urządzanych przez „Refleksje" dla Czytelników, artykuły dyskusyjne i wybrane głosy naszych Czytelników w sprawach doniosłej wagi.

Jednym z najobszerniejszych działów będzie dział publicystyczny, który będzie obejmował sprawy polityczne, gospodarcze, społeczne i wszystkie inne wchodzące w skład publicystyki. Dział ten, jak i wszystkie inne bę-



dzie dawał szerokie pole do wypowiedzenia się naszym Czytelnikom.

Równie poważnie będą traktowane w naszym kwartalniku l i t e r a t u r a i s z t u k a, we wszystkich ich przejawach, jak i h u m o r o r a z s p o r t, które są, względnie być powinny, naszymi codziennymi towarzyszami.

Inowacją w stosunku do wielu innych pism będzie wprowadzenie w specjalny sposób ujętej k o l u m n y a k a d e m i c k i e j — wychodząc bowiem z założenia, że przecież Młodzież, cokolwiek i ktokolwiekby mówił, jest Przyszłością naszego Narodu, uważamy za krzywdzące dla Niej stanowisko zajmowane przez wiele pism, ograniczających się do podawania o Niej wzmianek jedynie z okazji rozruchów uniwersyteckich czy też przemówienia P. Ministra Oświecenia Publicznego. Dlaczego też będziemy podawali o Niej stale wiadomości, które niewątpliwie będą dla wielu Czytelników, nawet „jak najzupełniej starszych" ciekawsze niż wiadomości „o niezwykle szybko latających muchach" po których bliższem zbadaniu okazuje się, że np. mucha lata z przeciętną szybkością 1600 km. na godzinę, wiadomości, których źródła tkwią niewątpliwie w nieograniczonej ludzkiej fantazji, której przejawy będziemy zamieszczali raczej w formie n o w e l i f e l j e t o n ó w w dziale b e l e t r y s t y c z n y m.

F o t o g r a f i e i s z k i c e będą przewijać się swobodnie poprzez poszczególne działy tak, ażeby każdy z naszych Czytelników, po przeczytaniu każdego numeru naszego pisma mógł stwierdzić, że przedstawia ono pewną h a r m o n i j n ą c a ł o ś ć, co właśnie jest zadaniem każdego magazynu aktualności współczesnych a szczególnie celem naszych „Refleksyj". Możemy bowiem stwierdzić, z całą stanowczością, że zamiarem naszym jest zadowolić nietylko naszych czytelników mieszkających w wielkich miastach i mających możność częstego przeglądania w kawiarniach wielu innych pism, ale i także Tych, którzy mieszkają w okolicach gdzie częstokroć nietylko, że kawiarni ale nawet pism nie ma, Tych ludzi z dalekiej prowincji, którzy niesłusznie znani pod nazwą „szary człowiek" spełniają cicho i bez szumnej reklamy swój prosty a jakże często nawet bohaterski obowiązek obywatelski — wytrwania na swojem stanowisku!

Na zakończenie małe wyjaśnienie: znikąd subwencji nie pobieramy. Wierzymy we własne siły i we własnych Czytelników!

Zdarzenia i oddźwięki

(Przegląd polityczny)

I.

Istnieje wiele możliwości co do sposobu opracowywania przeglądu politycznego, czego najlepszym dowodem może być prasa codzienna — trudno spotkać nawet dwa dzienniki, któreby w tensam sposób podały tęsamą wiadomość za wyjątkiem chyba wypadku, gdy obydwa należą do tego samego właściciela. W sposobie podawania wiadomości politycznych z najodleglejszych nawet części świata przejawiają się częstokroć tendencje polityczne, drukującego je dziennika zręcznie zaszczepione do treści podawanej wiadomości. Ostatecznie jednak dla inteligentnego czytelnika ten sposób wpajania pewnych tendencyj politycznych nie uchodzi niedostrzeżony — przeciwnie zauważa on natychmiast różnice tendencyj politycznych pomiędzy dziennikami, z których jeden zamieszcza wiadomość np. pod tytułem „Czerwoni jeszcze zwyciężają", a drugi tęsamą wiadomość zamieszcza pod tytułem „Czerwoni znowu zwyciężają". Ostatecznie taki czytelnik ustosunkowuje się do obydwu wspomnianych dzienników nieufnie i bierze trzeci, by przeczytać w nim tęsamą wiadomość pod tytułem „Kto zwyciężył". I tak dalej. Wreszcie przeczytawszy pewną ilość dzienników taki czytelnik udaje się do swoich zwykłych zajęć, zastanawiając się niekiedy w wolnych chwilach, który właściwie z dzienników miał rację. Rzadziej zostaje mu czas na to, by zastanowić się nad samą wiadomością podaną przez owe dzienniki.

Nie jest moim zamiarem używać przeglądu politycznego dla inspirowania jakichkolwiek tendencyj politycznych. Zadaniem moim będzie przedstawienie Czytelnikom pewnej ilości najważniejszych wydarzeń z polityki światowej, związanych w całość, którąby odzwierciedlała czytelnikom sytuację międzynarodową w danej chwili i pozwoliła im na postawienie z mniejszą czy większą dozą prawdopodobieństwa pewnych wniosków na przyszłość.

Wydarzeniom o specjalnej doniosłości będą w dziale publistycznym oczywiście poświęcone specjalne artykuły.

II.

Nie można żalić się w epoce, w której żyjemy na brak urozmaiceń, szczególnie w dziedzinie polityki światowej zdarzają się nawet tygodnie, w których niejeden wzdycha, „ach, gdyby tak troszkę wolniej!". Ostat-

nie tygodnie należały właśnie do takich. Przedewszystkiem należy zwrócić uwagę na wzrost popularności pewnych okolic jak np. basenu morza Śródziemnego, części oceanów Spokojnego i Indyjskiego.

Na pierwsze zaś miejsce, wybija się „Wiedeń, miasto moich marzeń" — jak powiada tytuł starego walca i wytyczne polityki zagranicznej niektórych państw. Zacznijmy od okolic odleglejszych, bo jakkolwiek żyjemy w epoce, w której znaczenie odległości z dnia na dzień maleje, w której eskrady samolotów bombowych w ciągu trzydziestu kilku godzin mogą się pojawić na drugiej półkuli naszego gwałtownie zmniejszającego się globu, jak widzieliśmy to z okazji przelotu włoskiej eskrady lotniczej popularnej obecnie na całym świecie pod nazwą „zielonych myszy", która przy pełnym obciążeniu bombowem pokonała w nieprawdopodobnie krótkim czasie trasę Włochy — Ameryka Południowa, to jednak zawsze się nam jeszcze wydaje, że jeżeli coś się dzieje daleko, to nas to mniej dotyczy. A wolę zacząć od przykrych wiadomości, które nas mniej dotyczą. Ocean Spokojny i Indyjski — rasa biała i żółta — razem tak zwana „chińska awantura", nie przynosi nam zaszczytu. Mówiąc „nam" mam tu na myśli Europę. Stworzyliśmy Ligę Narodów. Postanowiliśmy, że więcej wojen nie będzie. I udało się nam to przeprowadzić. Bo wojny między Japonją i Chinami niema. Pełny sukces. Co kilka dni przeprosimy w stylu conajmniej wersalskim — grzeczność, uprzejmość, kurtuazja. O co chodzi? O drobiazgi — tu zbombardowano, tam zgwałcono, tu zamordowano — ale to omyłki. W każdym razie wojny niema. Przeciwnie — Wersal! Nie można zaprzeczyć jednak, że są taci, którzy wolą się przed taką grzecznością zabezpieczyć. Nikogo więc nie dziwi, że Anglicy rozbudowują w błyskawicznym tempie floty i bazy morskie. Np. Singapur.

A na morzu Sródziemnem. Tak zwane incydenty i duchy. Co pewien czas ktoś zatapia okręt. I nie wiadomo kto. Ostatecznie jednak okazało się, że żyjemy w epoce silnie rozwiniętego spirytyzmu i istnieją tacy, którzy potrafią duchy zmaterializować a nawet im zagrozić solidnem połamaniem rąk i nóg na wypadek ponownych gościnnych występów. I dziwne — duchy po kilku ostatnich, tego rodzaju obietnicach państw do których należały zagrożone okręty, przycichły. — Być może, że uwaga ich, wzorem całego świata skierowała się — na Wiedeń. Wszyscy i ciągle o tym Wiedniu! Dlaczego? Dlatego, że Niemcy rozszerzają tam swoje wpływy. Trudno jednak zrozumieć dlaczego to ludzi dziwi. A dziwi bardzo tych, nawet tych, którzy dopiero przed kilku dniami interesowali się znacznie ważniejszymi wydarzeniami, które miały miejsce w Niemczech. Zmieniono kierownictwo armii. Prasa światowa podawała najfantastyczniejsze wieści „Że rewolucja, że grzmią działa, że prawdopodobnie nie niewątpliwie . . . " A tymczasem wszystko wątpliwe. Raczej przyszłość wyjaśni aniżeli oficjalny komunikat

niemieckiego ministerstwa propagandy, — powiadają doświadczeni ludzie — poczekajmy z wydawaniem opinii". No i czekamy.

III.

Wogóle ostatnio pozostaje coraz więcej rzeczy do wyjaśnienia . . . Przyszłości. Przynajmniej narazie . . . i do odczekania.

JOTIX

Cvad Orton

„442.000.000 złotych"

Przyzwyczailiśmy się już do tego, że co pewień czas czytamy, że odbędą się gdzieś jakieś wielkie uroczystości międzynarodowe. Czytając taką notatkę z góry już wiemy, że będzie tam wymieniona cała kolumna nazwisk znanych nam dobrze polityków-dygnitarzy, reprezentantów, nazwisk, który, czy to na początku czy też na końcu opisu uroczystości znaleść musimy. Dlatego też miłem urozmaiceniem dla każdego kto lubi urozmaicenia, było przeczytanie w angielskich pismach, że odbędzie się wielka uroczystość, w której wezmą udział: lord admiralicji, reprezentanci Australji, Nowej Zelandji, Zjednoczonych Państw Malajskich i Hong-Kongu. Ponadto „Trenton", „Memphis" i „Milvaukee". Te ostatnie imiona, to nie żony reprezentantów ale nazwy okrętów wojennych Stanów Zjedn. A. P. Oczywiście zaproszono także korpus dyplomatyczny.

W imieniu gospodarzy honory domu będzie robił niejaki Sir Shenton Thomas, którego skromny tytuł brzmi „Covernor of Straits Settlements" — „Gubernator Streits Settlements". A pozostali gospodarze? Dziwne, ale będzie ich więcej niż zaproszonych gości, piętnastotysięczny wyborowy korpus marynarki wojennej, kilkutysięczny korpus lotniczy i skoncentrowana flota wschodnia Imperium. Początek uroczystości — 14-go lutego br. Miejsce: Singapore. Singapore — nazwa równie tajemnicza jak konkretna. Tajemnicza, bo nazwa miasta dalekiego na dalekim Wschodzie, stałym bywalcom filmów przypominająca ciemne noce wśród dżungli i przyćmione światła tawern portowych, wielu starszym panom lata studenckie, gdy serce mocniej biło na nagłe pytanie profesora geografii: „A co wiesz o półwyspie malajskim?" nazwa spędzająca sen ze skośnookich twarzy oficerów sztabu generalnego cesarstwa „Wschodzącego Słońca" a przytem nazwa tak konkretna jak konkretną jest matematyczna cyfra 442.000.000 zł., której wydanie poprzedziło uroczystości 14-go lutego, uroczystości otwarcia nowej bazy morskiej.



Doniosłość położenia strategicznego Singapore

Pozostawiając opis życia w nocnych tawernach Singapore twórcom filmów o miłostkach marynarzy i małotajemniczych dziewcząt tajemniczych portów, spójrzmy na Singapore przez poważny pryzmat 442 milionów ściśle związanych a raczej wydanych w związku z tem miastem.

Zacznijmy od położenia geograficznego. Wystarczy spojrzeć na załączoną mapkę, by zrozumieć, dlaczego Singapore nazywają Gibraltarem Wschodu. Podobnie jak przez Gibraltar żaden okręt nie może przepłynąć tamtędy bez zgody jego władców, kto nie wierzy, może przekonać się zapomocą bardzo prostego eksperymentu, niech kupi mały okręt wojenny i spróbuje głęboką nocą, gdy nikt nie widzi, tamtędy przepłynąć wbrew woli tamtejszych władz. Spotka go kilka niespodzianek. Gdy tylko zbliża się do owego romantycznego miasta, nastąpi powitanie — niestety powita go wcześniej niżli promienny uśmiech stęsknionej dziewczyny, znacznie jaśniejsze światło ukrytych reflektorów o sile wielu miljonów świec. Jeśliby potrafił nasz eksperymentator patrzeć w to światło (radzę naprzód urządzić trening tysiącświecową żarówką i spoglądać na nią, zapaliwszy ją uprzednio, przez minutę, poczem można spokojnie udać się do najbliższego okulisty), ujrzałby że poza źródłem świateł wynurzył się szereg smukłych postaci — cały rząd. Niestety nie są to wyprężone ciała smukłych malajskich tancerek — są bowiem na to za wielkie, większe od okrętu naszego podróżnika.

Baterje ochronne Singapore zaopatrzone są w największe na świecie działa tego typu, wybudowane kosztem miljonów — można wyczytać w każdym nowym przewodniku po tamtych stronach. I zrozumiałby wtedy nasz eksperymentator, że w Singapore położenie geograficzne w stu jeden procentach wykorzystano, by z tego cypla półwyspu malajskiego uczynić potężny punkt strategiczny, który może przeciwstawić

się nietylko naszemu, ale każdemu eksperymentatorowi, który chciałby płynąć tamtędy na Wschód, albo, co ważniejsze, ze Wschodu. Wielki port wojenny, mogący pomieścić całą flotę wojenną, olbrzymie lotniska kryjące setki samolotów myśliwskich i bombowych, port hydroplanowy, garnizon liczący tysiące najlepszej piechoty morskiej, krótkofalowe stacje radjowe, pozwalające o każdej porze dnia czy nocy na swobodną rozmowę z całym światem a przedewszystkiem z Londynem, suche doki, rezerwoary materjałów pędnych dla floty, składy aprowizacyjne i dziesiątki innych urządzeń, które docenić potrafi tylko specjalista dla spraw baz morskich — oto na co wydano te 442 miljony.

Czy aby tylko na to? Urządzenia techniczne, o których wspomniałem, to tylko środek, do uzyskania celu na który wydano tę fantastyczną kwotę. Cel wielki i ważny, ważny przedewszystkiem dla całej rasy białej i jej interesów.

Singapore, jak już zaznaczyłem, chroni zachodnią półkulę przed jakąkolwiek inwazją jakichkolwiek eksperymentatotów — był więc do tei pory jak gdyby stalową bramą, mogącą się w każdej chwili zamknąć przed niepożądanym gościem. A znaczenie uroczystości 14-go lutego polega na tym, że potwierdza nowy okres, okres wzmocnionej potęgi tej stalowej bramy.

Udział w tej uroczystości reprezentantów floty odległych Stanów Zjednoczonych A-P podkreśla w tym wypadku solidarność nietylko rasy białej, ale co wążniejsze, współdziałanie dwóch największych mocarstw świata, którego jakkolwiek symbolicznym, to jednak niemniej konkretnym dowodem jest Siagapore. Singapore kosztowało 442 miljony, które wydano na poparcie przemysłu wojennego — twierdzą niektórzy ludzie — ogromną sumę, którą można było wydać na lepsze cele. Ale zapominają, że 442 miljony ludzi, przed eksperymentami conajmniej tak groźnpmi jak wojny bez wypowiedzenia i temu podobnymi.

Singapore można określić krótkim aforyzmem. „Wydane złote miljony chronią białe miljony przed żółtymi". Oto wielka tajemnica Singapore . . . .

Stanley Blek (Rochester, New-York U. S. A.)

New York - Warszawa

Pan S. Blek, z pochodzenia Polak, zamieszkały stale w U. S. A., wybrawszy się do Polski, podzieli się w cyklu reportaży z Czytelnikami „Refleksji” wrażeniami ze swojej podróży. REDAKCJA.

Lato dobiegało końca, a z niem kończyły się moje amerykańskie wakacje. Obarczony wspomnieniami, pakunkami i niepewnością w sercu wybierałem się w nowy, z opowiadania i książek znany kraj, do mej Ojczyzny niedawno zmartwychwstałej, zamorskiej Polski. Nowojorski port błyszczał wszystkimi barwami tęczy w słonecznej; przesyconej nieco parą wodną atmosferze. Potężne parowce kołysały się sennie na niebieskiej fali, kopcąc smugami czarnego dymu. Koło nich kręciły się pomniejsze statki i motorówki, jak ludzie przed olbrzymem w cyrku.

Po załatwieniu formalności znalazłem się w małej, nieco ciemnej kabinie polskiego parowca „M/S Kościuszko“. Rozlokowawszy się w swym podróżnym mieszkaniu, wyszedłem na pokład, by na ostatek nasycić swe oczy widokiem amerykańskiego nieba, widokiem jednego z największych miast świata, którego drapacze chmur rysowały się szaro na błękitnym tle jesiennego nieba. Gwar życia i maszyn grał w oddali dziwną melodię nowoczesnego bytu. Zagłuszały go głosy pasażerów, wciskających się mostkiem na pokład i żegnających się głośno ze swymi krewnymi lub znajomymi. Żóraw okrętowy ze skrzypem ładował prowianty i materiał exportowy do Halifaxu, Kopenhagi i do Polski. Patrzyłem na to z nieokreślonem uczuciem, jakiego doznaje podróżny znajdujący się poraz pierwszy na okręcie. Myśli roiły się w głowie, zwracając się do tego, co było i do tego, co ma nastąpić. Nasycałem się długo hałasem portowym pogrążony w myślach, gdy wtem ryk syreny przerwał mą zadumę. Był to pierwszy sygnał, zwiastujący bliski odjazd. Ludzie żegnali się pospiesznie, i część ich szybko opuszczała pokład, a pozostający na nim odprowadzali ich ruchami rąk i chustek.

Po dwóch jeszcze sygnałach statek szarpnął się, wstrząsnął, jakby się chciał pozbyć ludzkich żegnań i krzyków i zaczął zwolna pruć żelazną piersią zielonkawą toń morza. New York, a z nim i ziemia zaczęsię oddalać od statku zrazu powoli i niewidocznie, potem coraz prędzej, prędzej . . . Wszyscy umilkli, ścigając okiem i ruchami rąk znikających powoli w dworcu portowym ludzi. Odczucie przestrzeni malowało się na wszystkich twarzach odpływających.

Statek już pruł fale, coraz odważniej, lawirował, wykręcał się zuchwale, kierując bieg swój na pełne morze. Dym czarną smugą buchał z potężnego kominu, zasnuwając nad nami jasny błękit nieba; śruby

wżerały się zajadle w słoną wodę, wypluwały na jej powierzchnię białą falę piany. Maszyny dudniły głucho na dole pod pokładem. A w pasażerach dudniały podobnie serca, podobnie zasnuwał się błękit radości z powodu rozstania się z bliskimi.

Płyniemy. Podróżni lokują się w kajutach. Marynarze zajęci swymi obowiązkami pogwizdują sobie zcicha. Ląd coraz bardziej się oddala, maleje. Po pewnym czasie stał się czarnym, jak skała odbijając się kontrastowo od lśniącego tła morza i nieba „Liberty" widniał jeszcze czas jakiś wyraźnie, poczym wszystko rozpłynęło się w bezmiarze wód oceanu atlantyckiego. Ogarnęły nas dwie potęgi: morze i niebo, a między niemi okręt nasz jak łupina borykał się z oporem wód, rozcinając je ostrą piersią i miarowym hukiem maszyn i śrub . . .

Przez pierwsze trzy dni mej podróży panowała słoneczna przepiękna pogoda, zaciemniana nieco przez podnoszącą się z wody mgłę. Wychodziłem na pokład, opierałem się o burtę, patrzałem na spienioną wodę, na latające w słońcu i błękicie nieba mewy morskie i na wszystko, co się dało widzieć. A więc: obserwowaliśmy (o ile na to pozwalało zamglenie) rzekę morską — Gulfstream, gdzie właśnie unosiły się gęste, zasłaniające wszystko mgły. W czasie przejrzystej pogody można było widzieć przez lornetę — no i w przyzwoitej odległości od parowca — wychylające się co chwila z wody wygięte grzbiety delfinów. Współtowarzysze podróży robili podobne, tylko bardziej urozmaicone żartami obserwacje i spacery po pokładzie. Z niektórymi zapoznałem się i zaprzyjaźniłem; miałem sposobność poznać między innymi polskich balonistów z Chicago, zdobywców puharu Gordon-Benneta, pana W . . . . . , który przepłynął ocean na jachcie, oraz (rozumie się!) kapitana „Kościuszki", bardzo sympatycznego „gościa". A do bliższej znajomości dziwnym trafem doprowadziło suche amerykańskie „salami", którego miałem w podróżnej tece spory kawał, bo kilka funtów. Obdarzyłem nim najpierw swego towarzysza kajuty, ku wielkiemu tegoż zdziwieniu, które okazywał głośnymi wykrzyknikami. Wnet się rozniosła wieść po całym okręcie, że niejaki jegomość Stanley ma doskonałą kiełbasę. Kapitan na mocy swej władzy rozkazał mi stawić się z ulubionym przez wszystkich podróżujących na morzu prowiantem. Zaraz uczyniono sekcję nieszczęśliwej kiełbasy, rozdano poszczególne członki znaczniejszym gościom, tak, że mnie zaledwie mikroskopijna część „amerykanki" przypadła w udziale. Byłem jednak z tego wcale zadowolony.

Następnego dnia statek zaczął się mocno kołysać. Morze było wzburzone, fale biły o burtę, kołysały parowcem. Niebo pokryło się chmurami, wiatr dął między kominami i masztem radiowym. Na pokładzie było pusto i posępnie. Pasażerowie siedzieli w kajutach lub salach. Kilku się już rozchorowało. Ja wytrwale chodziłem po pokładzie i patrzałem z kilku innymi towarzyszami na zabawę fal. A one nadlatywały zdala

ze spienionymi grzbietami, z głuchym szumem i łoskotem, rzucały się na okręt, rozbijały się lub mijały go idąc dalej i dalej aż spotykały się z innymi i w kotłowaniu ustępowały miejsce następnym, które wciąż i zewsząd wyłaniały się z wód, jak legendarne bogi morza, grożąc okrętowi stłumionym rykiem.

Lecz „Kościuszko" rozcinał je potężną piersią, dążąc wciąż naprzód wśród ciągłego kołysania z tyłu naprzód, z boku na bok. Ludzie na nim czuli się z początku nieźle, ale zwolna zaczęli odczuwać skutki morskiej choroby. Wielu nie wychodziło z kabin. Na wspólne obiady przychodziło coraz to mniej ludzi a i potrawy trzeba było jeść ostrożnie trzymając talerze w rękach, gdyż kołysanie wylewało czasem zupę lub rzucało porcjami po całym stole albo nawet na podłogę. Wszyscy pasażerowie byli senni i ospali, jednak i spać nie było zupełnie wygodnie, gdyż podczas snu można było nabawić się kilku guzów na głowie lub innych częściach ciała od ciągłego kołysania. Podróżni nie tracili rezonu i chociaż czas burzliwy trwał około tygodnia, wcale nam się nie przykrzyło. Bawiono się czym i jak kto mógł.

Nareszcie po tygodniu kołysania ujrzeliśmy przezierające przez mgłę brzegi Wielkiej Brytanii; dobijaliśmy do Europy! Statek skierował bieg ku ciśninie Skagerak. Podróżni tłoczą się na pokład, gdyż kapitan zapowiada mające się ukazać wkrótce przecudne widoki Skandynawii. Jakoż północne wybrzeże Szkocji zanikało zwolna, coraz bardziej, malało, w końcu znikło z widnokręgu daleko za nami. Po pewnym czasie zaczęły się wyłaniać na widnokręgu inne, podobne do brytyjskich, pasma lądu — Skandynawii. Zbliżały się powoli, niewyraźne, przybierały kształty bardziej realne przyoblekając się zwolna w rozmaite kolory lasów, łąk, wzgórz wreszcie osad i poszczególnych domów, stojących tu i tam odludnie nad brzegiem, patrząc martwymi oczyma na pieniące się i z szumem o skały bijące morze. Niektóre wille wyglądały przecudnie ukryte w gąszczu zarośli drzew ostrozielonych, odbijających kontrastowo od mdłej barwy nadmorskich piasków. Gdzie niegdzie nagie skały wyłaniały się z wody, grając rozmaitymi barwami w słońcu. Fale wyrzeźbiły w nich fantastyczne figury i bryły; niektóre z nich w postaci kilkucetnarowych kamieni leżały po brzuchy w wodzie stawiając morzu zapalczywie i zwycięsko kamienne czoło, bo fale z szumem rozbryzgiwały się o nie, wylatując białymi płatami w powietrze. Był to naprawdę ładny widok. Zachwycałem się nim narówni z innymi, bo i dzień był pogodny i bezmiary wód znudziły nam się przez ten tydzień burzliwej żeglugi.

Okręt wymijał wysepki i pruł raźno wodę. Wieczór zbliżał się. Około północy mieliśmy stanąć w Kopenhadze. Przedtem jednak oglądałem przecudny zachód słońca z różowo-żółto-fioletowo-niebieskimi chmurkami i mieniące się wszystkimi barwami morze. Syci wrażeń

i przepięknych widoków oczekiwaliśmy po kolacji wśród wieczornych ciemności stolicy Danii,; Kopenhagi. Około 10 w nocy ujrzeliśmy tysiące świateł migocących w dali, które malowały w brudnawej wodzie morskiej drgające świetliste słupy. Liczne latarnie morskie, które tu zarówno jak i na brzegach Skandynawii stoją w bardzo niewielkiej od siebie odległości, rozpraszają ciemność różnokolorowym światłem, wskazując drogę okrętom i statkom. Ponieważ nasz okręt nie miał prawa wstępu do portu, zarzucił kolwicę zdala od miasta i tak przeczekał noc. Rankiem oglądaliśmy widniejące w pobliżu miasto i niektóre ważniejsze budowle.

Po śniadaniu parowiec podniósł kotwicę i ruszył już w prostej linii do Gdyni. Wjechaliśmy na polskie morze — Bałtyk. Nawiasem mówiąc bardzo mi się podobało. Płynęliśmy jeszcze jakiś czas wzdłuż brzegów Skandynawii, z podobnymi jak w ubiegłym dniu widokami. Latarnie morskie były także bardzo liczne, choć może nie w tej liczbie co przedtem. Teraz były one niepotrzebne, gdyż Pan Bóg zawiesił na niebie najlepszą latarnię, słońce, które dziś przyświeca bajecznie. Okręt spokojnie robił węzeł za węzłem kierując się coraz bardziej — ku Gdyni. Nie jednemu (a mnie także) biło serce ciekawością, jak też tam przez Polskę zmartwychwstałą, świeżo wybudowany port wygląda, jakie robi wogóle wrażenie cała Polska.

Pierwsze i drugie pytanie znalazły odpowiedź wkrótce. Do Gdyni dobiliśmy na drugi dzień o 2 godz. w nocy. Wjechaliśmy jednak dopiero około 8-ej, witani przez orkiestrę, mowy, licznie zgromadzoną ludność czekającą z kwiatami i bukietami na zwycięzców z Chicago (i na nas). Po załatwieniu formalności z paszportami i bagażem, załączywszy w aparat fotograficzny nową taśmę filmów wybrałem się na zwiedzenie Gdyni. Najpierw zrobiłem dokładny przegląd portu i jego urządzeń. Zauważyłem dużo podobieństwa do amerykańskich portów, tylko może polski jest więcej skromny, bez tych licznych udoskonaleń i komfortu, jakim błyszczy Ameryka. Pozatem żórawie, dźwignie a także hale i zbiorniki na różne towary są udoskonalone i nowoczesne. Samo miasto nie wielkie, o również nowoczesnych domach i ulicach — czyste i porządne. Autobusy i auta stosunkowo liczne, kursują po całym mieście i porcie.

Po kilkugodzinnym pobycie w Gdyni wsiadłem do pociągu, by dostać się do Warszawy, a w dalszym ciągu do celu mej podróży — Wilna. Zanim jednak opiszę całą moją podróż, spróbuję naszkicować wizerunek kolei polskich.

Zasadniczo pociągi polskie nie wiele różnią się od amerykańskich. Wozy są nieco mniejsze, drewniano-żelazne lub żelazne w nowym lub starym stylu. Nowością dla mnie były przedewszystkim seperatki, tj. kabiny na 8 osób. Taki wóz podzielony jest albo wyłącznie tylko na kabiny i korytarz, umożliwiający wejście do nich, albo kabiny zajmują pół

wozu. a druga połowa stanowi jakby jedną wielką seperatkę. Cały pociąg dzieli się na trzy klasy: I, II i III-cią. Czasem dołącza się czwartą, lecz jest ona tylko robotnicza. Ogół ludności jeździ trzecią klasą, która jest najtańsza. Ławki tu są drewniane, całe urządzenie znośnie, lecz nie wykwintne. Na ścianach napisy ostrzegawcze, nakazujące, czasem plakaty polecające. W starych wozach jest dość brudno, lecz nowe odznaczają się elegancją. Większym jednak wykwintem wyposażona jest II kl. o połowę ceny trzeciej droższa. Jeździ w niej już warstwa mająca pretensje do zamożności, której nie robi różnicy o połowę przysporzyć sobie koszta podróży, Za to mają wygodne fotelowe siedzenia, pięknie zdobione ściany, czystą podłogę, firanki w oknach — słowem komfort. Posiada jeszcze jedną zaletę — rzadko w niej jest przepełnienie. Nie wiele różni się pierwsza klasa od drugiej, chyba tym, że jeszcze jest droższa i że jeżdżą w niej chyba sami tylko magnaci i ministrowie. Ja jako niemający żadnych pretensji do zamożności, a tym mniej do teki ministerjalnej, jechałem rzecz jasna trzecią klasą i po stosunkowo nie długim czasie znalazłem się w sercu Polski — Warszawie . . . .

Frank Koszarek (Portage Pennsylvania, U. S. A.)

Młodzież studiująca w U. S. A.

(Schemat życia od szkoły powszechnej do doktoratu)

Wobec ożywionych dyskusji, które znajdują obecnie miejsce w naszem społeczeństwie na temat naszego systemu szkolnictwa, i wywołanego tem zainteresowania systemami szkolnictwa innych państw a także wobec zainteresowania jakie wzbudza u nas młodzież amerykańska, skorzystaliśmy z obecności w Polsce stypendysty amerykańskiego Pana Franka Koszarka, władającego jak Państwo zobaczą z poniższego artykułu całkiem dobrze językiem ojczystym, i poprosiliśmy Go o podzielenie się z naszymi Czytelnikami ciekawszymi danymi odnośnie młodzieży studiującej w Stanach Zjedn. Godnym zanotowania jest fakt, że autor niniejszego artykułu ukończył właśnie szkoły amerykańskie — informacje więc przez Niego podane nie są żadną teorją ale konkretnym obrazem istniejących tam stosunków.

Redakcja.

System szkolnictwa.

Każda dziewczyna i każdy chłopiec muszą być wpisani do szkoły powszechnej mając lat 6. Szkoła powszechna obejmuje pierwsze 8 lat nauki. Od pierwszego roku do 8-go studenci awansują stosownie do postępów po jednej klasie na rok. Przy końcu 8-go roku student jest zobowiązany złożyć maturę, poczem przechodzi do wyższej szkoły (High School), która trwa 4 lata. W ciągu tych czterech lat studenci mogą

brać przedmioty, które przygotowują ich na wyższe uczelnie lub do zawodu praktycznego.

Przed skończeniem czterech lat wyższej szkoły student jest zobowiązany złożyć egzaminy z pewnej ilości przedmiotów bez których nie może być przyjęty na wyższe uczelnie. Niektóre stany mają trochę odmienny system odnośnie pierwszych 12-tu lat szkolnictwa. Z początku jest 6 klas powszechnych, po których składa się egzamin i wpisuje się do Junior High School. Junior High School trwa 4 lata, poczem składa się maturę i wpisuje się do Senior High School, która trwa 2 lata. Po skończeniu pierwszych 12 tu lat szkoły i po złożeniu egzaminów z pewnej ilości przedmiotów, student jest zakwalifikowany do wpisania się na wyższe uczelnie albo do pracy zawodowej.

Dziewczęta mają przepisane te same przedmioty co i chłopcy, tylko oprócz uczenia się zawodu, mają kursy prowadzenia domu, szycia i td. Należy tu podkreślić, że polski język jest wykładany na wyższych uczelniach amerykańskich. Powszechne szkoły i wyższe szkoły są utrzymywane przez rząd z podatków jakie płacą obywatele na ten cel. Książki i przybory szkolne są dawane studentom bezpłatnie.

Dalsze studia są prowadzone na sposób, który odpowiada zawodom, jaki studenci wybierają. N. p. ci, którzy chcą być nauczycielami w szkołach powszechnych, zapisują się do stanowych kolegjów dla nauczycieli (State Teachers College). Ci którzy chcą być inżynierami, lekarzami lub adwokatami, wpisują się do kolegjum lub na uniwersytet, gdzie po skończeniu dwuch wzgl. czterech lat studiów przygotowawczych wpisują się na czteroletnie studia poświęcone zawodowi wybranemu. Magisteriat lub doktorat otrzymuje się po skończeniu i po złożeniu egzaminów z przedmiotów jakie są wyznaczone przez radę edukacyjną.

Co się tyczy roku szkolnego, egzaminów i świątecznych wakacji tudzież obecności na wykładach i obowiązków studenckich, to rok szkolny trwa 9 miesięcy i jest podzielony na 2 trymestry. Jest obowiązkiem złożyć egzaminy z przedmiotów przy końcu każdego trymestru. Świąteczne wakacje trwają nie więcej jak 3 tygodnie na Boże Narodzenie i Wielkanoc, i dwa dni na święta narodowe. Obecność na wykładach jest ściśle obowiązkowa. Każdy student ma wyznaczoną pewną ilość godzin wolnych. Jeżeli student przekracza wyznaczoną mu ilość wolnych godzin, musi się usprawiedliwić, podając uzasadnioną przyczynę swej nieobecności. O ile się nie usprawiedliwi, profesor wykreśla go z wykładów, które opuścił.

Jest obowiązkiem każdego studenta, aby zawsze okazywał się życzliwym wobec kolegów i nauczycieli w szkole, ażeby zadania i lekcje odrabiał w oznaczonym czasie, ażeby był w dobrym fizycznym stanie i ażeby się zawsze tak zachowywał, aby młodsi mogli z niego brać sobie przykład.

Prywatne i koleżeńskie życie studentów.

Podczas studiów w szkole powszechnej i w wyższej szkole, studenci mieszkają w domu rodziców i są pod ich opieką. Po skończeniu wyższej szkoły (High School) studenci wyjeżdżają do innych miejscowości, gdzie znajdują się kolegia i uniwersytety. Tutaj studenci są pod opieką władzy szkolnej. Każdy student jest zobowiązany postępować ściśle według danych regulaminów. Jeżeli student przekroczy regulamin, natychmiast jest wydalony ze szkoły.

W internatach studenci mają wyznaczone godziny dla uczenia się, dla snu, dla posiłków i zabawy.

Na każdej wyższej uczelni istnieje jedno albo więcej braterstw (fraternity), o nazwie złożonej z greckich liter. Jedyną pracą tych braterstw jest starać się o środki, które mają dać rozrywkę i zabawę studentom.

Poza nauką studenci zajmują się sportami, zbierają się w wyznaczonych lokalach, chodzą do kina bardzo często i uczęszczają na zabawy taneczne urządzane co sobotę przez różne braterstwa. Zabawy nie trwają dłużej niż do drugiej nad ranem. Na zabawie pijaństwo jest zakazane przez władzę szkolną. Stosowanie się studentów do regulaminów tyczących się zabaw, zawsze umożliwia bardzo przyjemną zabawę, na której wszyscy się świetnie czują, po której nikt nie choruje i po której niema nieporozumień między kolegami.

Sport.

Sport odgrywa bardzo ważną rolę w życiu studentów w Stanach Zjedn. Każda wyższa szkoła i każdy uniwersytet i kolegium, uprawiają cały szereg sportów, jak np. piłkę nożną, piłkę metową, koszykówkę, siatkówkę, lekkoatletykę, łucznictwo, strzelectwo, pływanie, szermierkę, boks, tennis i szereg innych sportów nieznanych w Europie.

Drużyny sportowe istnieją w każdej szkole. Szkoły biorące udział w sportach są podzielone na okręgi. Drużyny w okręgu odbywają zawody. Mistrzowie okręgu odbywają zawody z mistrzami innych okręgów, aż ostatecznie po eliminacji pozostają mistrzowie międzyokręgowi, t. zw. mistrzowie nad mistrzami.

Zawody w piłkę nożną są największą atrakcją. Na zawodach między szkołami jak Pittsburg University i Notre Dame, nieraz znajduje się więcej niż 100.000 widzów.

Studenci nie mają czasu o niczem innym rozmawiać jak tylko o wynikach sportowych zawodów, albo się sprzeczać, która szkoła wyda drużynę mistrzowską w następnych zawodach.

Studenci, którzy kochają sport, a to przeważnie wszyscy, nigdy nie mają miesięcy wolnych od sportów. Rok szkolny jest podzielony na okresy w których można uprawiać sporty jak np.; w jesieni piłkę nożną, w zimie koszykówkę, na wiosnę lekkoatletykę, mniej ważne sporty, jak

siatkówka, szermierka, łucznictwo, strzelectwo i td. są uprawiane przez cały rok.

Studenci, którzy się odznaczają w sportach, otrzymują stypendja do najlepszych szkół w Stanach Zjedn. Dobry sportowiec zawsze ma powodzenie w szkole i nie tylko w szkole, ale także poza szkołą, koledzy odnoszą się do sportowca z wielkim szacunkiem, a koleżanki cieszą się, gdy mogą z nim obcować.

Ponieważ sport jest bardzo rozwinięty i uprawiany w Stanach Zjedn. szkoły nigdy nie przestają rozpowszechniać sportu. Władze szkół i wogóle wszyscy ludzie w Ameryce są pod wrażeniem, że udział w sportach buduje człowieka fizycznie, daje mu wytrzymałość i stwarza zdrowego moralnie obywatela z młodego człowieka.

W porównaniu z tem, polski system szkolnictwa jest całkowicie odmienny od amerykańskiego systemu. Student w Polsce uczy się więcej niż student w Ameryce i skutkiem tego jest więcej wykształcony. Poświęca więcej czasu i większą część swego życia studenckiego rozmyślaniu nad swoją dolą, gdy tymczasem student w Ameryce uczy się nie tyle co student w Polsce, ale bierze udział w sportach i zabawach. On nie ma czasu rozmyślać, albo skarżyć się, że mu źle, że musi tylko kuć nad książką. Celem studenta w Ameryce jest nietylko rozwijać się umysłowo ale także trzymać się w dobrym fizycznym stanie i korzystać ze sposobności, które umożliwiają mu wesołe i nie ponure oblicze, a zarazem umożliwiają życie czyste i podzielenie czasu dla nauki, dla sportów, i dla dobrych postępów w innych dziedzinach.

Równanie w dół

Ministerstwo W. R. i O. P. w bieżącej sesji parlamentarnej wniosło między innymi projekt ustawy o nadawaniu tytułu inżyniera. Sprawa ta rozbudziła szeroki oddźwięk na łamach prasy. Świadczy to o żywotności tej kwestii. Jednakże głosy prasy są tylko refleksem opinii publicznej, która w tym wypadku jest niemal zgodna. Ustawa przewiduje bowiem możliwość nadawania absolwentom szkół (nieakademickich) technicznych zawodowych tytułu inżyniera. Zrozumiałą jest dążność do podniesienia poziomu niższej zawodowej warstwy technicznej, lecz złe do tego drogi obrane zostały. Wprawdzie na Zachodzie absolwenci zawodowych szkół technicznych posiadają tytuł inżyniera, jednakże tam utrwaliła się głęboko w świadomości społeczeństwa różnica między tytułem naukowym a zawodowym. Nienależycie przemyślane przeszczepianie obcych wzorów na nasz grunt jest niewłaściwe. Wyrażenie się tych poglądów w ustawie, byłoby rzeczą szkodliwą, a to z następujących powodów:

1). Wprowadziłoby zamęt w dotychczasowym układzie stosunków,
2). Dałoby to upust szkodliwej tytułomanii,
3). Spowodowałoby ogólne obniżenie kwalifikacji.

ad 1). W świadomości naszego społeczeństwa tkwią silnie wyodrębnione pojęcia: inżynier i technik. Niwelacja tej różnicy, choćby pozorna, spowodowaćby mogła ogólną niepewność. Za błędy inżynierów (techników) pokutować by musieli niewinnie inżynierowie dyplomowani, który to tytuł projekt ustawy przyznaje inżynierom z wykształceniem akademickim. Nie chcemy bynajmniej umniejszać zasług i kwalifikacji techników, (absolwentów średnich szkół technicznych), jednakże nie można nie uznać różnic tych czynników w naszym świecie technicznym. O ile bowiem inżynier reprezentuje w technice element t w ó r c z y, to technik jest czymś w rodzaju o r g a n u w y k o n a w c z e g o zasad przyjętych przez świat nauki. Obowiązujące przepisy prawne w wypadku wykazania odpowiednich zdolności, dają także technikowi możność otrzymania tytułu inżyniera, oczywiście po spełnieniu wymaganych przez ustawę warunków. Odpada więc argument odcięcia drogi naukowej jednostkom technicznie uzdolnionym. Ustawa ta więc, gdyby weszła w życie, byłaby czymś w rodzaju premii za mniejszy wkład osobistej pracy.

ad 2). Błąka się jeszcze w naszym życiu społecznym jakieś dalekie echo Rzeczypospolitej szlacheckiej, bezkrytyczny kult dla form, dla tytułów, które zmienia się na coraz to wspanialsze, chociaż kryją w sobie jednakową treść. Wada ta przeradza się w prawdziwą chorobę społeczną, mnożą się dyrektorzy, prezesi i t. p. których ten zaszczytny tytuł nie gruntuje się na rzetelnej pracy i prawdziwej zasłudze. Walka techników zawodowych o przyznanie im tytułu inżynierskiego jest tylko zewnętrznym przejawem zjawisk o głębszym znaczeniu. Kryje się w niej bowiem pęd warstw społecznych ku coraz wyższym szczeblom hierarchii społecznej. Objaw ze wszech miar godny i zrozumienia i pochwały, jednakże w tym wypadku technicy złe sobie obrali drogi do podniesienia swego zawodu na wyższy poziom, jedyną bowiem drogą właściwą na pięcie się w górę hierarchii społecznej jest w tym wypadku nauka i kwalifikacja. Czczy tytuł nigdy jeszcze nikogo nie wywyższył.

ad 3). Projekt nowej ustawy kryje w sobie wreszcie inne niebezpieczeństwa. Skoro bowiem nowa ustawa przyniosłaby zrównanie stosunków materialnych i niwelację rozróżnienia odrębności charakteru studiów, to w efekcie dałoby rezultat wielce ujemny, a mianowicie ogólne obniżenie poziomu wykształcenia. Spowodowałoby równanie w dół, ponieważ każdy mając do wyboru przebycie ciężkich studiów politechnicznych lub też krótszych studiów w średniej albo wyższej szkole technicznej, zrezygnowałby z tego pierwszego.

Projekt ten głośnym echem odbił się zarówno w zrzeszeniach techników, inżynierów, nie mniejsze wywołując zainteresowanie i poruszenie

na wyższych uczelniach, które dla okazania swego sprzeciwu jedna po drugiej ogłaszały strajk protestacyjny. Dla zilustrowania panujących na U. J. poglądów, które są zgodne z całą niemal opinią młodzieży innych szkół akademickich, przytaczamy poniżej rezolucję z wiecu studentów U. J.

B. G.

REZOLUCJA

uchwalona na wiecu studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego
w dniu 17 stycznia 1938 r.

Studenci Uniwersytetu Jagiellońskiego zebrani na wiecu protestacyjnym zwołanym w sprawie obrony naukowego tytułu inżyniera w dniu 17 stycznia 1938 r. stwierdzają:

1. że postulat zbrojnego pogotowia Narodu nie może być spełniony, jeżeli Państwo nie dysponuje silną kadrą wykwalifikowanych jednostek;
2. że jedynie uczelnie akademickie mogą przygotować zapas odpowiednich sił do prowadzenia polskiego przemysłu, rolnictwa i handlu;
3. że najlepszym środkiem zwiększenia liczby przyszłych kierowników życia gospodarczego jest umożliwienie studiów na wyższych uczelniach szerokim rzeszom młodzieży drogą obniżenia kosztów studiów.

Młodzież Uniwersytetu Jagiellońskiego staje na stanowisku, że projekt nowej ustawy o nadawaniu naukowego tytułu inżyniera godzi w interesy Państwa Polskiego.

Uniezależniając nadawanie tytułu inżyniera od Rad Wydziałowych, które jedynie dotąd uprawnienia te posiadały, projekt ten jest wyrażeniem votum nieufności ciału profesorskiemu.

Jest on także krzyczącą niesprawiedliwością w stosunku do szerokich rzesz studentów uniwersytetów i politechnik, którzy zdobywają wiedzę w wieloletnich studiach.

Dlatego też młodzież Uniwersytetu Jagiellońskiego solidaryzując się z akcją, zainicjowaną przez uczelnie politechniczne, postanawia jednodniowym strajkiem w dniu 18 stycznia 1938 r. wyrazić swój protest przeciwko szkodliwemu dla społeczeństwa polskiego i nauki polskiej projektowi.

Kazimierz Ropelewski

Na tatarskim szlaku

Rok temu wyjechałem z Krakowa, celem dokładnego poznania naszych ziem południowo-wschodnich. Zwiedziłem całe Podkarpacie, Huculszczyznę, następnie przez Pokucie dostałem się na Podole.

Zajmuje ono prawie cały teren dzisiejszego Województwa Tarnopolskiego a zasługuje na szczególną uwagę dlatego, że w porównaniu z innymi ziemiami Polski tu jest największe zgrupowanie dawnych twierdz obronnych, tak dobrze znanych ze wspaniałej Trylogii Sienkiewicza.

Dzisiejsze ruiny tych zamków wywierają niezrównane w swej potędze wrażenie na podróżniku. Chcę zapoznać czytelników z bogactwem historycznym tej ziemi która tak mało znaną jest na zachodzie. Będę się starał w mych artykułach dać dokładny obraz obecnego stanu zabytków, jak i ich historję.

I.

Kasztelański gród Sidorów

W okolicy Husiatyna n/Zbruczem wśród urodzajnych pól i zielonych lasów, w głębi jaru rzeki Słobódki, rozłożyła się cicha wioska Sidorów.

W pośrodku jaru jest dość duże wzgórze, z którego wystrzelają w niebo dumne baszty starego zamku.

Warownia ta zbudowaną została około XV — XVI wieku, w ciągu licznych wojen niszczona i palona, była kilkakrotnie odnawiana.

Kroniki dostarczają dość ciekawych szczegołów, by uchylić rąbek tajemnicy zamierzchłej przeszłości Sidorowa.

Zamek był własnością możnego rodu kasztelańskiego Strusiów ze Strusowa. Ostatni męski potomek tego rodu Mikołaj, kasztelan kamieniecki, pozostawił żonę i dwie córki. Jedna wyszła za mąż za sławnego w owych czasach zabijakę, Aleksandra Sienieńskiego. Drugą Krystynę jeszcze za życia ojca wykradł wśród tajemniczych okoliczności z zamku halickiego, poczem zaślubił Adam Kalinowski. —

Po śmierci kasztelanowej Strusiowej, obydwaj szwagrowie rozpoczęli ze sobą walkę o spadek, a między innymi o zamek Sidorowski. W czasie jednego z najazdów, Sienieński zajął Sidorów i ograbił zamek z olbrzymich skarbów. Po licznych walkach i procesach zamek otrzymał Kalinowski — mimo wyżej wspomnianego rabunku zamek posiadał jeszcze dość bogactw a zwłaszcza „dobrze zaopatrzone spiżarnie”.*)

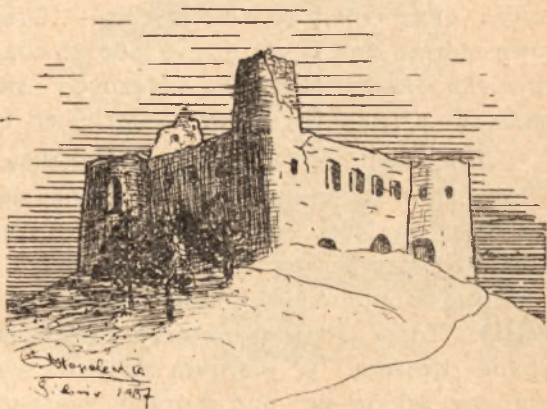
Od Adama Kalinowskiego przechodzi w posiadanie brata Marcina, hetmana polnego koronnego.

---

*) Szczegółowo opisuje to Łoziński w dziele p. t. Prawem i Lewem, str. 78 223 i 225.

Po śmierci hetmana (1652) przez Sidorów przewaliło się wiele bitew, oblężeń, był grabiony i palony przez Turków, Tatarów i Kozaków, a nawet jakiś czas należał do Państwa Otomańskiego, podobnie jak inne zamki podolskie, jako część paszałyku.

Gdy nastały spokojniejsze czasy, nowy dziedzic, potomek bocznej linji hetmana, Marcin Kalinowski w r. 1718 odnawia zamek, a w r. 1741 buduje na sąsiednim wzgórzu Kościół, który należy do rzadkości i zasługuje na specjalną uwagę swoim niepowszednim kształtem. Wzniesiony został na rzucie poziomym herbu Kalinowskich w kształcie strzały, za specjalnym zezwoleniem Rzymu. —



Obronny zamek rycerski w Sidorowie

Kościół jest do dziś świetnie zachowany, natomiast gród kasztelański (mimo troskliwej opieki obecnych właścicieli Państwa Paygertów), z trudem przypomina wspaniałą przeszłość.

Ruiny zamku zbudowanego z kamienia łamanego, wznoszą się na wzgórzu, które już z natury jest obronne, dzięki stromym brzegom. Z daleka sylwetą swą robi wrażenie olbrzymiego okrętu na grzbiecie rozhukanej fali oceanu. Zamek posiada nawet podobną formę przez wydłużenie z przodu i tyłu, gdzie na kształt masztów wznoszą się stosunkowo najlepiej zachowane wysokie wieże strażnicze. Po bokach broniony był półokrągłemi basztami. Tak w basztach jak i murach jest dużo strzelnic do ognia krzyżowego i wprost, pozatem kilka kazamat, które mogły służyć jako mieszkania dla służby, lub stajnie, bądź też jako zbrojownie i składy. —

Tam gdzie dawniej były bogato zdobione komnaty, dziś jeno złomy murów i gruzy ukazują swą nagość i opuszczenie.

Bardzo ciekawie przedstawia się baszta wjazdowa z bramami i tablicami pamiątkowymi, zdobnymi herbami rodu kalinowskich z r. 1718. —

W podziemiach zamczyska są tajemnicze lochy które można zobaczyć lecz trzeba się tam dostać przez wyłom w sklepieniu co jest dość ryzykowne, ale zato poznanie ich pozostawia niezatarte wrażenie. —

Przez wypełnioną głazami i zwaliskami murów pierwszą piwnicę, wśród ciemności rozjaśnionych jedynie nikłym promieniem światła wpadającego przez otwór wejściowy, posuwamy się w kierunku czarnej czeluści widocznej po przeciwnej stronie, stawiając ostrożnie krok za krokiem, pełni napięcia i niewytłumaczonego lęku. Chłodne powietrze podziemi drażni nozdrza. Cisza tak wielka że aż w uszach dzwoni. Nie ułowisz najmniejszego szelestu . . . .

Słychać tylko lekko bicie własnego serca. —

Błysk latarki elektrycznej. Strumień mocnego światła wdarł się ostrym promieniem w ciemność. — Dreszcz mną wstrząsa . . . Nad głową sterczą zmurszałe głazy, lada chwila mogą oderwać się i zgnieść człowieka. Na kształt apokaliptycznych smoków grożą straszną śmiercią śmiałkowi który poważył się zakłócić ich odwieczny, posępny spokój. —

Dalej ciemno, — straszno. Refleksy światła przybierają dziwne kształty zjaw, przez kapryśne załamania się w występach starych murów. Wszędzie zwaliska, tu jakieś kości może ludzkie, tam czerepy glinianych starych naczyń, jakieś doły (znać że nie tak dawno kopane, prawdopodobnie chłopi szukali tu skarbów o których istnieje legenda). Znów jakieś tajemnicze przejścia i wnęki zamurowane lub zasypane gruzem. W pewnym miejscu widać w podziemiu żywą skałę, jakgdyby wdarła się pod mury by wesprzeć zgrzybiałego starca, wiekowe zamczysko i tuli go miłośnie do swego łona. —

Dość już niesamowitych wrażeń, po nużącej atmosferze lochów pełną piersią z rozkoszą zaczerpuje się świeżego powietrza. Oczy z trudem przyzwyczajają się do jasności południowego słońca.

Lecz dalej trzyma nas w swej mocy posępna pustka i powaga ruin. — Każdy krok zrobiony na dziedzińcu zamkowym, odzywa się echem i głuchem dudnieniem w głębi podziemnych pieczar. Nawet poza terenem zamku są miejsca, gdzie echo w podziemiach odbija nasze kroki; na podstawie tego można twierdzić z całą pewnością że musiały istnieć podziemne przejścia do sąsiednich zamków, miały pono one sięgać aż do Kamieńca Podolskiego . . .

Słońce chyli swą złocistą tarczę, wzniecając na zachodniej stronie nieba łunę pożarów. Od strony stepów zbliża się noc błękitna, usiana miljardami srebrzystych gwiazd.

Czarna sylweta zamku stoi zadumana. Owiewają ją wspomnienia dawnych, bardzo dawnych czasów.

Tatarskie szlaki . . . Czarny, Kuczmański i Złoty. . .

Wyłaniają się z mroków zapomnienia bohaterowie tych ziem, w stal zakuci rycerze, którzy morze krwi przelali tu w obronie wschodnich rubieży Rzeczypospolitej. —

Nigdy obrońcy nie mieli tu spoczynku. Bez przerwy szły tędy po zdobycz i jasyr dzikie hordy tatarów, zagładę nieść chciały chrześcijańskiemu światu żelazne hufce wyznawców półksiężyca, a zdradziecki kozak rozlewał krew bratnią i wzniecał pożogę. —

A świadek dawnej chwały polskiego oręża stoi samotny i opuszczony. Lecz trwa na stanowisku pilnie patrząc pustymi prostokątami okien na wschód.



Baszta wjazdowa z herbami rodu Kalinowskich

Ostrym nożem wdarł się w ciszę nocy krzyk puszczyka . . . dziś on tu pełni wartę nocną.

Ożyjcie głazy! Przemów posępny, stary grodzie bohaterów . . .

Przeciągłe wołania nocnej straży:

— Czuwaj! Czuj duch!

— Czu . . . waj!

Na krańcach stepu rozbłyska krwawa łuna, rośnie, potężnieje, widać strzelające w górę iskry wśród kłębów rdzawego dymu.

Ciszę zakłócił jakiś daleki tętent, już grzmi! Jeździec na spienionym rumaku wpada na most zwodzony — już w dziedzińcu zamkowym!

— Orda! Tatarzy! — krzyknął, spadł z konia i skonał. W piersi strzała tatarska tkwiła aż po bełt.

Trąbka zagrała wsiadanego. W blaskach porannej zorzy wychodzi z zamku cudzoziemska piechota, potem lekkie chorągwie a w końcu stalowi skrzydlaci rycerze . . . Husarja!

Będzie bitwa. Tatarzy bronić się będą zaciekle bo wiozą moc zrabowanych skarbów i jasyr. —

Uderzają lekkie chorągwie, piechota zdaleka otacza tabory. Słychać coraz bardziej potężniejącą wrzawę bitewną. Szczęk szabel, wrzask rannych i konających . . . co chwilę z zamętu wylatuje rozszalały koń bez jeźdźca.

Orda otoczona, kolej na husarję.

Las kopii pochylił się w dół. Ruszają . . . powoli, stępem, kłusem aż wreszcie pędzą jak niepowstrzymana lawina w szalonym galopie. Ziemia grzmi i jęczy pod ciężarem żelaznych jeźdźców i koni.

Straszliwy wrzask i targnął powietrzem:

— Jezus! Maria!

— Allah! . . . Allah! . . .

A oni dopadli, skruszyli kopie, tną wraże tłumy mieczem czy koncerzem, walczą zaciekle o każdą piędź ziemi, znacząc ją obficie swą krwią.

Tatarstwem owładnął strach. Rzucają się do ucieczki, pędzą na oślep przed siebie zasłaniając się przed razami gołymi rękami.

Tabor już zdobyty, wrogów docinają lekkie chorągwie.

Pod niebo płynie dziękczynna pieśń dzieci i niewiast uwolnionych z hańbiącego jasyru.

Rycerstwo uznojone lecz pełne radości i dumy z odniesionego zwycięstwa wraca na zamek wśród tryumfalnych okrzyków i grzmotu dział.

I znów czuwanie od rana do nocy, od nocy do świtu. Walki, podjazdy, oblężenia . . . Tryumfy, zwycięstwa, upadki . . .

Zabrakło dziś w stal zakutych rycerzy.

Zostały stare omszałe mury . . .

Czasem puszczyk krzyknie na wieży . . . znów cisza . . .

Nie zapełni murów zamkowych zbrojny lud. Minęły czasy najazdów dzikich watach tatarskich czy kozackich. Znikły tajemnicze stepy . . .

A w ziemi przesiąkniętej krwią spoczywają Oni: Bohaterowie!

W Kurhanach i mogiłach pruchnieją kości walecznych synów tej ziemicy.

Ziemia to dla nas święta.

Jak nasi dziadowie i ojcowie bronić Jej będziemy do ostatniej kropli krwi!

Tadeusz Rzebik (Kraków)

Koleje w obliczu przyszłości

W setną rocznicę rozpoczęcia budowy pierwszej na ziemiach polskich kolei parowej (Wiedeń - Bochnia).

I.

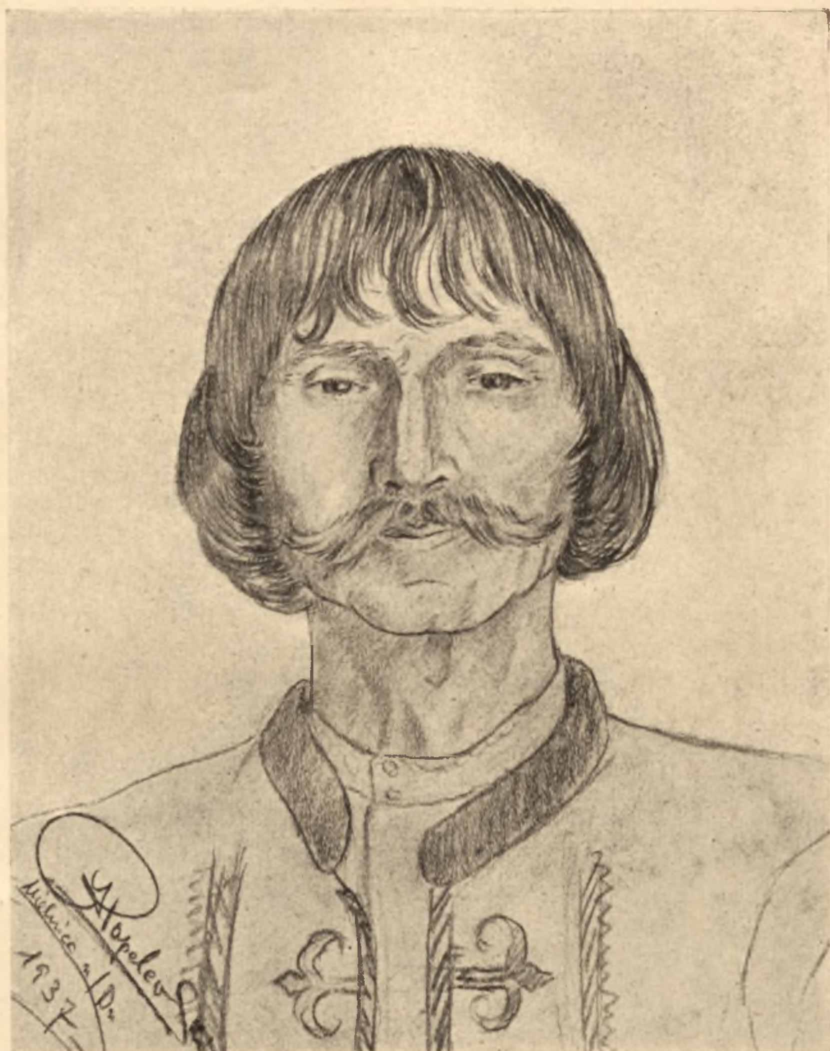
Od samego zarania dziejów, ludzkość styka się z przestrzenią i czasem. Ludzkość żyje, działa w przestrzeni i czasie. Odczuwa jednak skutki ujemne pierwszej a błogosławieństwo drugiej złączonej z człowiekiem funkcji istnienia. W gospodarstwie ludzkim te dwa zjawiska mają fundamentalne znaczenie. Jeżeli człowiek czasu nie zdoła pokonać, bo przecież życie ludzkie jest od niego zależne — to stara się pokonać, mniej wszechwładne a bardziej realne zjawisko — przestrzeń. Od wieków trwa walka człowieka z przestrzenią, a człowiek rozwinął w niej całą swoją potęgę umysłu by wznieść się na coraz wyższe stopnie postępu — objąć coraz szersze przestrzenie świata. Stara się pokonać przestrzeń by zyskać na czasie, by w tym samym czasie tj. okresie życia ludzkiego, wytworzyć więcej dóbr. Wszak to jest to prawo rządzące gospodarstwem, wypływające z psychiki ludzkiej. Człowiek dąży do uzyskania maksimum przy pomocy minimum. Poprzez oswojenie zwierząt, wynalezienie okrętów żaglowych dąży ludzkość do nowych wynalazków pozwalających na szybsze pokonanie przestrzeni. Z początkiem XIX stulecia zastosowano maszynę parową do pokonywania przestrzeni. Rezultaty jakie dała lokomotywa Stephensona podczas próbnych jazd na linii Livepool — Manchester (1830) były tak ogromne, że weszła w powszechne użycie. Wszystkie państwa z zainteresowaniem śledziły bieg wypadków. Jednemu z Banków w Wiedniu należy się uznanie za podjęcie prac dokoła pierwszej w ówczesnej Austrii, a równocześnie pierwszej na ziemiach polskich kolei parowej, Była to „Kolej Północna" t. zw. Nordbahn z Wiednia do Bochni.

Ów Bank otrzymał 4 marca 1836 r. koncesję na budowę tej linii. W kilka miesięcy później na skutek wrogich napaści zostało zmuszone kierownictwo budowy do zapytania się akcjonariuszy banku o zezwolenie na budowę projektowanej już kolei.

100 lat temu uderzył pierwszy kilof tworząc w r. 1838 pierwszy odcinek Wiedeń — Wagram jako część linii kolejowej Wiedeń — Bochnia.

Około roku 1846 wybudowano linię Mysłowice — Kraków, Kraków — Rzeszów, Wieliczka — Bieżanów, w zaborze rosyjskim w tym samym czasie odcinek z Warszawy aż do granicy (Sosnowiec) jako część

linii Warszawa — Wiedeń. Wybudowane koleje na podstawie koncesji przez prywatne przedsiębiorstwa, przejmuje państwo. Ta dążnośc objawia się najsilniej około 1850 roku. Stworzono linię państwową Rzeszów — Lwów (1854) tworzącą w połączeniu z Krakowem kolej Karl-Ludwigs Bahn. Państwo udziela nowej koncesji na zmienionych warunkach oddając przedsiębiorstwu w zamian za kapitał, 5% dochodu z danej linii kolejowej. W latach 80-tych ubiegłego stulecia przystępuje państwo austriackie do budowy Transversalbahn Oświęcim — Kraków — Płaszów, Sucha — Skawina, Zwardoń — Nowy Sącz, Grybów — Zagórz, Stanisławów — Husiatyn z licznymi liniami bocznymi. Kolej ta miała stworzyć drugie połączenie Krakowa ze wschodem — od Krakowa — Płaszowa aż do Husiatyna. Widzimy więc, że w latach 80 tych istniały prawie wszystkie linie kolejowe na terenie dzisiejszej Małopolski. Ze statystyki kolei austriackich wynika, że rozwój kolejnictwa posuwał się w szybkim tempie od roku 1845 ze siecią 728 km aż do roku 1900 ze siecią 19.229 km. Rok 1900 jest punktem szczytowym. Od tego czasu zapanował zastój w kolejnictwie austriackim. Organizacja kolejnictwa skostniała, tworząc fundament, wyłaniającego się z mroku dziejów, a opartego na organizacji kolei państw zaborczych — kolejnictwa polskiego.



Z cyklu „Podole"   rys. Kazimierz Ropelewski

PIAST

O sytuacji na Uniwersytetach

Jak świat światem chyba odtąd odkąd pierwsza zbiorowość powstała, istniała walka przeciwstawnych sobie obozów. Walka nie może być wieczną, w rozgrywce sił społecznych zwyciężali silniejsi, budując swój ustrój społeczny (jako, że każdy ustrój społeczny jest emanacją sił) według swych zasad.

Czasy spokoju, stabilizacji warunków życia, ścierają ostrza wzajemnych namiętności, przeciwieństwa poglądów istnieją nadal zasypane po wierzchu, jakby uśpione ogólną pomyślnością. Lecz niech tylko jakiś tryb wielkiej machiny społecznej zacznie zawodzić, niech tylko wartki nurt życia na powierzchnię wyrzuci nowe potrzeby, w dotychczasowym układzie stosunków nie znające zaspokojenia, siły te budzą się z pozornej martwoty, wyładowując swoją dynamikę w dążeniu i walce o nowe cele stworzone przez nowe warunki.

Dzisiejsza epoka, epoka fermentu, jako swój wytwór przynieść powinna nowe formy życia społecznego, jak one wyglądać będą okaże przyszłość. Narazie analizując sytuację obecną, stwierdzić jedynie można, że nasze czasy posiadają symtomy właściwe okresom przejściowym, okresom przełomu. Ogólnym takim symtomem jest zwątpienie w bezwzględną wartość wszelkiego ideału, szarganie dotychczasowych świętości, niewiara w możność budowania lepszej przyszłości, sceptycyzm i walka z autorytetem.

W tej atmosferze rozpadającego się starego świata wzrosło młode pokolenie. Jego obraz polityczny stał się żywą antytezą układu sił politycznych w starszym społeczeństwie. Świadczyć może o tym choćby fakt, iż żadne stronnictwo polityczne nie potrafiło sobie wychować młodych, którychby oblicze ideowe było identyczne z poglądami starszyzny. Ogólną cechą wszystkich niemal organizacji akademickich (że te tylko pod uwagę weźmiemy) o nastawieniu politycznym jest ich radykalizm. Niema konserwatystów wśród młodych. Młodzież jasno zdaje sobie sprawę z trudności dnia dzisiejszego, szukając różnych dróg do jednego celu, którym jest naprawa teraźniejszości. Różnymi drogami zdąża młodzież do tego celu. Najlepszym dowodem różnorodnych prądów, nurtujących wśród młodzieży jest jej rozbicie na zwalczające się obozy. Nie skoordynowane wysiłki poszczególnych grup stwarzają sytuację zaognioną, która doprowadza niekiedy, że namiętności polityczne wyładowują się nieraz w sposób krańcowy w petardach i t. d.

Dla zilustrowania obecnej sytuacji na Uniwersytetach pozwolimy sobie wymienić kilka ugrupowań politycznych. Zacznijmy od prawicy. Wśród nich wybijają się na pierwszy plan ugrupowania zbliżone do O. N. R u. (Organizacja Narodowo-Radykalna). Następnie młodzież Wszechpolska, która jest odpowiednikiem Stronnictwa Narodowego na Uniwersytetach. Potem Odrodzenie; organizacja ta ma w różnych ośrodkach uniwersyteckich różny charakter, np. w Krakowie zbliżone jest do Młodzieży Wszechpolskiej, natomiast w Lublinie idzie na kompromisy z Z. P. M. D. (Związek Polskiej Młodzieży Demokratycznej) organizacji o charakterze wybitnie lewicowym, a w Wilnie znowu Odrodzenie w swych dziejach posiadało okres t. zw. Dembińszczyzny, głoszącej hasła niedalekie od komunizmu. Jak z powyższego widać Odrodzenie posiada kolosalną rozpiętość polityczną i waha się pomiędzy przeciwnymi biegunami, jednakże jego zasadniczą ideą jest budowanie świata w myśl zasad głoszonych przez Kościół Katolicki.

W tym trymestrze, po korytarzach uniwersyteckich rozrzuciło swe ulotki nowo powstałe przedłużenie O. Z. N. występujące pod nazwą Związek Młodej Polski. Nowa ta organizacja na swoich sztandarach wielkimi literami wypisała program wybitnie narodowo radykalny, tak ostro do niedawna zwalczany przez obecny reżim. Narazie prace w Z. M. P. mają charakter organizacyjny i propagandowy i w swojej kronice notują dotychczas jedno publiczne zebranie w Warszawie, jednakże żywszej akcji spodziewać się należy w najbliższym czasie.

Szereg organizacyj lewicowych rozpoczyna Z. P. M. D. który za podstawę przyszłego ustroju społeczno-ekonomicznego przyjmuje syndykalizm sorelowski. W organizacji tej po latach minionej chwały panuje rozkład, którego dowodem jest rozbicie na Z. P. M. D. lewica i Z. P. M. D prawica. Na niektórych uniwersytetach cicho jest wogóle o tej potężnej do niedawna siewczyni haseł socjalistycznych.

Niezależna Młodzież Socjalistyczna „poszczycić" się może niedawno odkrytą bezbożniczą wystawą, która znajdowała się w immunizowanej sali Uniwersytetu Wileńskiego, będącej siedzibą tej organizacji.

Z innych organizacyj lewicowych kończy swój suchotniczy żywot dogorywający po wyrzeczeniu się go przez możnych protektorów Legion Młodych.

Już ten choć krótki przegląd sytuacji na Uniwersytetach świadczy o ogólnym roznamiętnieniu umysłów i o ważności tego okresu dla Polski. Rzuca się w oczy fakt, że z dnia na dzień niemal słabną wpływy lewicy i coraz potężniejszą falą wzbiera ruch narodowy, myślący i czujący po polsku, a modlący się po katolicku.

D. G.

Jacek Wysocki

Czyja wina?

Na marginesie ostatnich strajków na Wyższych Uczelniach.

Ktoby nie znał dokładnie stosunków panujących na wyższych uczelniach w Polsce, i opierając się jedynie na przemówieniach sejmowych, oraz na wiadomościach zamieszczanych w prasie chciał sądzić dzisiejszą młodzież akademicką, ten mógłby mieć smutne refleksje na temat przyszłej Polski. Przecież właśnie ta młodzież przyszłością narodu! Tymczasem cóż? najgorsze objawy zanarchizowania życia społecznego, w postaci strajków znajdują właśnie swoje odbicie na wyższych uczelniach. W ubiegłym roku strajk okupacyjny studentów politechniki w Warszawie, strajk solidaryzacyjny Uniwersytetu Jagiellońskiego. W styczniu br. w związku z projektem rządowym o tytule inżyniera strajki na wszystkich wyższych uczelniach w Polsce. Wreszcie 20 stycznia br. 24-godzinny strajk okupacyjny Akademii Handlowej (dawnego Wyższego Studium Handlowego) w Krakowie. „Do książek smarkacze! Strajków wam się „zachciewa"! — oto co powie starszy pan uniósłszy się „słusznym" oburzeniem. „Dawniej inaczej bywało. Myśmy się uczyli" — odpowie mu inny. Mało kto natomiast wgłębi się w przyczyny, zbada istotę tego bezwzględnie smutnego stanu rzeczy. Czasami pytanie „dlaczego?" jest tak nie na rękę, poprostu sprawia przykrość, właśnie dlatego, że odkrywa własne błędy. Prościej jest potępić, bez badania przyczyn! Czas jednak już zetrzeć bielmo z oka, hasło frontem do młodzieży winno się odzwierciedlać nie wprowadzaniem polityki na wyższe uczelnie, lecz prawdziwą, realną pomocą materialną O cóż ta młodzież walczy? O swoje słuszne i niezaprzeczalne prawa, o prawa nauki. Młodzież chce się uczyć!!! Nie chcę być gołosłownym i czczemi tylko słowy bronić młodzieży. Zobrazuje nam sytuację niedawny strajk na W. S. H. w Krakowie. 20 I. br. studenci I-go roku W. S. H. proklamowali strajk okupacyjny, do strajku przyłączyły się wkrótce i wyższe lata studiów. Zawiązany ad hoc komitet strajkowy zwołał wiec. W rezolucji uchwalonej na wiecu studenci postanawiają prosić Pana Ministra W. R. i O. P. o jaknajszybsze wprowadzenie w życie drogą rozporządzenia wykonawczego ustawy, nadającej W. S. H. w Krakowie pełnię praw akademickich.

Młodzież nie jest głupia, nie da się zbyć obietnicą, zdaje sobie sprawę, że kwestia akademizacji, która wymaga obecnie jednego pociągnięcia pióra Pana Ministra, jest dla niej sprawą najżywotniejszą i najistotniejszą. Cztery lata studiów na tej niezaprzeczalnie na najwyższym poziomie stojącej wyższej uczelni handlowej w Polsce, o specyficznym, sobie tylko właściwym kierunku naukowym, 4 lata ciężkiej pracy, często wśród okropnych wprost warunków, winny dać prawa, te

same, co dają uniwersytety. Popiera się handel, popiera się przemysł, mówi się o bojkocie, o odsunięciu elementu obcego, lecz czym się go zastąpi. Cóż będzie, gdy braknie polskich kupców i przemysłowców, gdy braknie sił fachowych w dziedzinie handlu i przemysłu. Młodzież jest ambitna, chętniej studiuje na uniwersytetach, gdzie po latach pracy otrzyma zasłużony tytuł naukowy. Tytuł magistra lub doktora. Z jednej strony widzi młodzież niestrudzoną pracę dla dobra uczelni, dla wyniesienia jej na najwyższe poziomy ze strony twórcy założyciela uczelni, Jego Magnificencji Pana Rektora A. Bollanda Pod kierunkiem profesorów przyjaciół młodzieży tej miary, co b. Minister, Prof. U. J. Dr Kazimierz Władysław Kumaniecki, Dziekan wydz. filz. U. J. Prof. Smoleński, Prof. Dziurzyński, Prof. Sarna, młodzież niestrudzenie pracuje i buduje podstawy Nowej Polski. Widząc wysiłki Rektora i grona profesorskiego z jednej strony a bierność i apatję wyższych czynników z drugiej strony, młodzież, ten zawsze niespokojny wulkan, wybucha. Dyrekcja nie jest w stanie opanować sytuacji, zresztą widzi słuszność żądań, występowałaby więc wbrew swemu przekonaniu .... Rezultat: strajk i przerwa w nauce. Czyja wina?.

Niemniej piekącą i pilną sprawą to obniżenie opłat na uczelniach handlowych. Zwrócił się do mnie pewien pan z prowincji. „Panie — powiada — syn na W. S. H., córka w gimnazium, już nie mogę podołać. Z żoną od ust sobie odejmujemy. Posyłamy pieniądze, posyłamy żywność, wszystko mało. Czy szkoła w Polsce ma być dostępna tylko dla bogatych?“ Nie dziwię się rozgoryczeniu. Czyż średnio zamożny urzędnik państwowy, nie mówiąc już o emerytach pobierających najwyżej 200 zł., może sobie pozwolić na utrzymanie syna w Krakowie, na opłacenie taks, kupno książek? Głodowe utrzymanie studenta w Krakowie kosztuje 80 zł. miesięcznie. Opłaty na W. S. H., książki i egzamina razem około 500 zł. rocznie. A chciałem zaznaczyć, że dzięki cudownym wprost sztukom i łataniu końca z końcem przez Prof. Żabińskiego, kuratora majątku W.S.H. uczelnia ta nie jest wcale najdroższą z uczelni handlowych w Polsce. Same tylko opłaty na Szkole Głównej Handlowej w Warszawie wynoszą około 500 zł., nie licząc książek i egzaminów. Czym to tłumaczyć, że opłaty na uczelniach handlowych w Polsce, przekraczają dwukrotnie opłaty na uniwersytetach, oraz uczelniach handlowych zagranicznych. Opłaty na jednej z najlepszych szkół handlowych w Europie, na Wyższej Szkole Handlowej we Wiedniu wynoszą 220 szylingów. We Francji opłaty wahają się od 400 - 1000 fr., czyli od 100 - 180 zł. Wobec tych danych, czyż żądanie obniżki przez młodzież, która zwróciła się z prośbą do P. Min. W. R. i O. P. o zwiększenie dotacji na rzecz W.S.H. w Krakowie oraz o zwiększenie subwnecji na rzecz organizacji samopomocowych można nazwać niesłusznem. W sprawozdaniu N. I. K. P. w pozycji budż. Min. W.R. i O.P. są dwukrotne pozycje na rzecz „Straży Przedniej“ raz 18.000 zł., i 23.000 zł. Bez komentarzy!

Na prośbę swoją młodzież nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Wyższe czynniki „nie zauważyły” jej manifestacji. Dla czego?

LITERATURA

Jan Bolesław Ożóg

O minerałach w literaturze polskiej

Jak dawno tylko ludzkość zaczęła cenić drogie kamienie i kruszce szlachetne, wychwalając rzadkość oraz piękno ich kolorów i kształtów, tak dawno wprowadzali poeci i pisarze do swoich pieśni bursztyn, diamenty i marmur. Używał ich już w celach artystycznych Homer i Platon, który w „Fedonie" opisał również krwawnik, jaspis i szmaragdy. Potem poeci różnych szczepów i narodów dodawali do minerałów dawnych coraz to nowe i piękniejsze odmiany, w miarę jak posuwają się zdobycze kopalniane.

W literaturze polskiej pierwszy raz na dużą skalę spotykamy minerały w XVI w. u Reja i Kochanowskiego, potem u Potockiego i H. Morsztyna, jakkolwiek już dawniej drogie kamienie były u nas niezawodnie znane i wymieniane w pieśni, legendzie i handlu.

Poprzez poezję klasyczną i baroku, aż do czasów Stanisławowskich „inkrustowanie" wierszy weszło w regułę. W utworach wybitnych poetów z tych czasów świeci się od drogich kamieni. Niedawno z mroków zapomnienia wydobyty przez Romana Pollaka Walenty Roździeński w wydanym w r. 1612 poemacie p. t. „Officina ferraria" ze szczególnym zamiłowaniem opisał bogactwa kruszcowe ziemi śląskiej znane w tych czasach:

Jest w circumferencyej państwa bytomskiego
Obfitość rudy i kruszca śrebnego,
Jest i kamień piryten, co tam czynią z niego
Hałun, siarkę i farbę, koperwas do tego.

Wśród drogich kamieni znajdowanych na Śląsku, wymienia autor:

Jaspisy w Irzkienberku między Sudetami
Osobliwe [redacted] z różnymi farbami;
Hiacenty, rubiny w Izerze [redacted] - - - -
I w tych źrodłach, co piasek złoty z nich wyjmują.

Roździeński pisze dalej o granatach i turkusach, ale u niego to jest najważniejsze, że pierwszy upoetyzował polskie skały codziennego użytku.

Za czasów pseudoklasycyzmu Franciszek Wężyk dodaje do kolekcji minerałów wapień.

Do najwyższego kunsztu w „mineralogizowaniu“ doszli trzej wieszczowie i poezja poromantyczna. Typowy przykład — opis wschodu słońca w „Panu Tadeuszu“:

Siedmią barw błyszczy razem: szafirowem razem,
Razem krwawi się w rubin i żółknie topazem,
Aż rozlśniło się jako kryształ przeźroczyste,
Potem jak brylant, światłe, nakoniec ogniste . . .

Nagromadzenie tylu odmian różnych błyskotliwych kamieni na tak małej przestrzeni przechodzi oczekiwanie. Na większą jeszcze skalę posługuje się słowami „kryształowymi“ Słowacki. W „Królu Duchu“ wylicza między innymi: rubin, bazalt, krzemień i opal. Pokaźna kolekcja.

W miarę rozwoju form literackich występuje mineralogizm i w beletrystyce, nieporównanie więcej jednak drogich minerałów i kruszców okazuje się w poezji. Łatwo to zauważyć u poetów, którzy uprawiają ubocznie powieść i prozę piękną, jak np. w nowszych czasach T. Miciński lub Wł. Orkan.

Za Młodej Polski charakterystycznym minerałem jest bursztyn. Przedewszystkiem dawne skarbce z zapasami rżniętych kamieni i kryształów, malachitu i jantaru, do którego niedawno jeszcze tak bardzo w „Wietrze od morza“ przywiązał się Żeromski, poszły w odstawkę. Nie przedstawiają już dawnego uroku, za stary to już rekwizyt i nielicujący z poetą, który chce w literaturze odgrywać rolę społeczną. Jeszcze J. Tuwim zachowuje rasowy sentyment do drogich kamieni i wszelkiego rodzaju świecidełek:

Skarby moje niezmierne! Błyszczące kamienie!
Szmaragdy, chryzolity, jaspisy, diamenty!

Zresztą mineralogizm tego rodzaju należy do rzadkości, toteż z zaciekawieniem czyta się w wierszach A. Ważyka „Oczy i usta“ takie wyznanie:

Obdzieram rzeczy z kory i rozcinam słoje
diamentem, wypalonym przez mądrą maszynę,
krzemieniem, który ma imię człowieka,
rubinem,
mitologią dni moich.

Poeta z diamentem i rubinem spotykał się pewnie tylko w laboratorium chemicznym. Dziś po kamieniach drogich i szlachetnych przyszła w poezji kolej na kruszce i minerały codziennego użytku: węgiel, gips, cynk i sól. Narodowe skarby mineralne! W poetyckiem odczuciu ruchu handlowo-przemysłowego na Wiśle pisał kiedyś Antoni Czajkowski:

Wisło, ty niesiesz na twoim przestworze
Nasze ziarniste, pozłocone zboże,

I cynk srebrzysty, i sól, i gips biały,
Wapno i jaja, i świeże nabiały.

W poezji najnowszej echo podobnej, ale nierównie piękniejszej pieśni znaleźlibyśmy w ostatnim tomie wierszy St. Czernika: „Przyjaźń z ziemią“:

Trzeba określić to ścisle —
Tęknotę podziemnych pól:
Węgiel, naftę i sól,
I wielkie, polskie Nadwiśle.

Tęskno —
Węglowym bryłom do pustki wygasłych pieców . . .
Tęskni

Sól biała do zmarzniętych, słodkawych ziemniaków,
Jedzonych rano w południe i wieczór . . .

To jest dopiero mineralogizm, który wypływa z potrzeby epoki.

Edward Biel

O Miasto moje.

W dalekim gwarze smutno mi i źle
Obco wśród mnogich świateł neonowych,
Duszę ogarnia o mym mieście sen . . . . .
Witam wspomnienia pochyleniem głowy.

O miasto moje — śnie w piękno zaklęty
Przyjdę w Twe mury hejnału posłuchać,
Kornie uklęknę u Twoich bram świętych
W radości oczu i spokoju ducha.

Wyjdę o zmroku popatrzyć jak żyjesz,
Czas będę liczył dźwiękami zegarów,
Nic się przedemną z Twych wdzięków nie skryje
Nic nie uronię z zachwytnego czaru.

N. Teodorow - Ludi.

Patologiczny wypadek

Rozmawialiśmy o instynktach. W pewnej chwili młoda poetka oświadczyła:

— Instynkty ludzkie są podporządkowane rozumowi, czyli, mówiąc inaczej, instynkt jest rozumem.

— W jakiż to sposób? zapytał kpiąco rzeźbiarz.

Młoda kobieta nie zmieszała się ani na chwilę i objaśniła:

— Oto w jaki sposób: weźmy jako przykład najsilniejszy instynkt ludzki, instynkt samozachowawczy. Człowiek podporządkowuje go rozumowi i powiada: „Muszę żyć". Ergo — instynkt staje się rozumem.

— Tak jest istotnie — zawołał pan z przerzedzoną blond czupryną, siedzący na kanapie koło poetki. — Najlepszym tego dowodem jest samobójstwo. Zwierzęta go nie popełniają, posiadają bowiem ten instynkt w stanie zupełnie surowym.

Pan z przerzedzoną blond czupryną począł rozwijać myśl poetki, spoglądając na nią od czasu do czasu, jakgdyby szukał jej aprobaty.

— A ja uważam — wtrącił doktor — że jest to niezasłużona deifikacja człowieka. Moim zdaniem, w człowieku znacznie silniej, niż w zwierzęciu, przemawiają potęgi podświadome. Nie zapominajcie państwo, że człowiek jest nie tylko ofiarą instynktów, narówni ze zwierzęciem, lecz także ofiarą przesądów, zabobonów i wierzeń . . . . Poza tem każdy z nas posiada nerwy, często rozklekotane.

Słuchaliśmy go w milczeniu. W małych jego oczkach, oświetlonych blaskiem lampy, czaił się kpiący wyraz, na ustach błądził uśmiech.

Pani domu oświadczyła, iż chętnie posłuchałaby muzyki.

— Zagram z przyjemnością — odezwał się doktór — lecz przedtem opowiem państwu zdarzenie z mego własnego życia. Tematem będzie również instynkt.

Był wiosenny dzień. Spacerowaliśmy w dwóch: ja i mój przyjaciel, Eugeniusz, niech mu ziemia lekką będzie — wzdłuż toru zachodniej kolei. Jak państwu wiadomo, od dworca biegnie kilka kilometrów podwójnego toru.

— Geniu — odezwałem się do niego — za kilka minut przeleci ekspres. Czy mógłbyś przejść po lewych szynach w kierunku stacji, odwrócony plecami do nadchodzącego pociągu?

Roześmiał się.

— No, oczywiście! A czyżbyś ty nie mógł?

— Nie, nie mógłbym.

— Ja mogę. Ale skąd wiesz, że ekspres przejdzie po prawym torze?



STARE DOMY

Drzeworyt dwubarwny

Jan Kurkiewicz

Ekspres przeleciał. Krzyczałem, lecz było już za późno. Eugeniusz został pod kołami pociągu.

Od tego dnia nie wierzę już w boskie pochodzenie człowieka. . . .

Siedzieliśmy wszyscy w milczeniu, z oczyma rozszerzonemi przerażeniem.

— Tak . . . . To wypadek patologiczny. Pański przyjaciel był neurastenikiem.

— Ano, był neurastenikiem — rzekł doktór. — Ale ja nie znam ludzi absolutnie zdrowych.

Poczem wstał i zasiadł do fortepianu.

(tłum. Z. de Bondy.)

Tadeusz Hołuj (Kraków)

Zatańczmy walca Małgorzato

(fragment)

Tak
Ty siostro nieznana o dziurawych płucach, o suchotniczej gorączce
spluń gęstymi kroplami krwi na lśniący parkiet.
Jakto? — goście nie przyszli? Cyganie płaczą walcem.
A w kandelabrach gwiazdy świateł.
Tak
Oto
dudnią schody pod stopami tancerzy,
szczękają lękliwie szyby w oknach.
Nie gasić świateł! — Panienko nie drżyj.
Tak
Zamknij oczy Małgorzato. O — dźwięczą ostrogi.
Szeleszczą treny sukien, szeleszczą rozmowy.
A tu walc płynie salą — oczka otworzyć.
Oto:
porucznicy idą w lansadach prosić cię do tańca.
W kandelabrach świece umierają z zachwytu.
Nie odmówisz Małgorzato. Szczęście jak rumieniec
kiedy krew nie rzuca się do ust.
Walc.

Arria

Życie nielicznych ludzi jest darem, jest skarbem szybko przemijającym, którego nikt nie może zwrócić a każdy wziąć może. Udziałem wszystkich jest śmierć, którą każdy dać może, nikt zaś uchylić jej się nie zdoła. Każdy pragnie dać jej oblicze odpowiadające własnej duszy, gdy myśl swą wgłębi w tajemnicę śmierci. Niejeden chciałby umrzeć w podeszłym wieku i cicho zasnąć po tułaczce życiowej, opłakiwany przez wszystkich; drugi zaś pragnie śmierci w młodzieńczym wieku z aureolą sławy. Jeden życzyłby sobie śmierci wśród pól, wśród woni kwiatów i jesieni, śpiewu słowika, mając nad sobą przepiękne niebo lazurowe, albo chciałby umrzeć wśród cichego szlochania nad swym łożem, nad którym ciepły promyk słońca ogrzewałby mu zimną twarz. Drugi zaś w polocie swej fantazji będzie gonił i szukał śmierci pośród burz, bitew, będzie jej szukał wśród wichrów i wstrząsów ziemi. Pragnieniem jego będzie zginąć wśród dźwięku trąb, słuchając łopotu zwycięskich chorągwi, a padając na ziemię chciałby pocałować tę żywicielkę i — umrzeć.



Ten kto boi się śmierci, to albo bardzo kocha ludzi, albo bardzo boi się Boga.

Opowiem wam jaką śmierć miała Arria. — Arria to Rzymianka poślubiona obywatelowi rzymskiemu, żyjąca w czasach, gdy rządy nad Imperium Rzymskiem sprawował cesarz Klaudiusz Tyberiusz Druzus.

W cyrku szalał tłum. — Imperator urządzał widowiska publiczne. Słonie walczyły z tygrysami tak, że piekielny ryk wstrząsał gmachami niebios a pod uderzeniami nóg dzikich zwierząt drżała ziemia; od czasu do czasu można było widzieć, jak centkowane bestje wyrzucane były do góry przez krwią ociekające trąby rozszalałych słoni.

Tłum krzyczał jednak, gdyż pragnął krwi ludzkiej.

Na środek cyrku rzucono nagiego człowieka, trzymającego w ręku szeroki krótki sztylet, z odkrytą rozwichrzoną głową, o muskułach jak żelazo twardych i o twarzy odwagą tryskającej.

W tej chwili wyważono drzwi od przeciwległej klatki skąd majestatycznymi krokami jak na króla pustyni przystało wylazł lew afrykański. — Z długą błyszczącą grzywą, grającą w blasku słońca barwą złotych kolorów, z wyciągniętym jęzorem ryczał jak grzmot daleki, uderzając przytem ogonem o ziemię.

Mężczyzna i lew znaleźli się naprzeciw siebie, przeczuwając, że każdy z nich znalazł godnego siebie przeciwnika. Lew zgiąwszy swój tułów w kabłąk, pochyliwszy głowę ku ziemi i potrząsając grzywą to na jedną to na drugą stronę ryczał przeraźliwie tak, że od ryku jego trząsł się cały cyrk.

— „Biafora" — krzyknął mężczyzna stuknąwszy nogą o ziemię i prężąc swe szerokie bary, podniósł błyszczący sztylet do góry. Jeden skok naprzód i dwa królewskie stworzenia zwarły się z sobą; lew straszne swe pazury wbił w ramię człowieka, rozszarpując je. Gladiator chwycił go za gardło i przygniótł żelaznymi kolanami przebijając swym zimnym żelazem na wylot jego serce. Lud porwany szałem klaskał. Mężczyzna powstał, z triumfującą twarzą pokazuje tłumom dymiący jeszcze od krwi sztylet, stawiając zarazem nogę na głowie zabitego lwa.

Lud klaszcze; gladiator padł martwy obok zwyciężonego przeciwnika i wyzionął ducha.

Lud klaszcze; pragnie widzieć więcej i więcej krwi.

Wprowadzono na arenę grupę kobiet biało ubranych. To chrześcijanki, które nie chciały służyć pogańskim bożkom przez co stały się ofiarą dla nich samych.

Męczenniczki płacząc obejmują się i śpiewają hymn na cześć wielkiego Ducha, panującego na wysokości. Chwila śmierci nie jest dla nich tak okropną, jak słodka myśl o radościach przyszłego życia. —

Otworzono więcej klatek, z których wypuszczono hyeny. Sto bestyj, które nigdy nie przywykły do twarzy ludzkich głodzone od tygodnia i podjudzane do wściekłości rozżarzonymi prętami żelaznymi wypadło na arenę. Z paszczy dzikich bestyj wydarło się okropne wycie mieszając się z oklaskami ludu i świętym śpiewem męczenniczek.

Któż jest ten, który najgłośniej oklaskuje?

To sam imperator, Klaudiusz Tyberiusz Drużuś.

Hyeny wypadły na arenę. — Tyberiusz wychylił się z loży w dalszym ciągu oklaskuje trzepocząc swym płaszczem podjudza bestie. W tej chwili jeden z mężczyzn, stojących obok Tyberiusza, Cecina Paetus słowami pełnymi obrzydzenia i pogardy odezwał się do przyjaciela — Nie wiem czy ludzie są bardziej pożałowania godni, czy bogowie, że pozwolą jednemu nędznemu człowiekowi stać się bogiem na ziemi? —

— Rzeczywiście odpowiada drugi, potrzeba tylko jednego pchnięcia i on sam teżby się znalazł wśród bestii.

— Nie zaniechajmy tej myśli — odezwał się Paetus i uczynił krok naprzód. Przyjaciel wstrzymał go jednak.

— Stój, ja muszę to uczynić, ty przecież masz żonę w domu. — Cecina Paetus pozwolił przyjacielowi postąpić naprzód. — Po chwili udało się dotrzeć do Tyberiusza tak blisko, że mógł go dosięgnąć ręką. Nachylił się do imperatora i szepnął mu coś do ucha. Mężczyzna zanim to uczynił pomyślał, że dla niego byłoby dużo korzystniej, zamiast zamordować Tyberiusza odkryć przed nim, że jest tu całe sprzysiężenie, godzące na jego życie.

W ten sposób tylko jednego ziemskiego boga mógł uczynić człowiekiem, a tak to z siebie zrobi półboga.

Kiedy Cecina Paetus zauważył, że jego przyjaciel szepce Tyberiuszowi zaraz zdał sobie sprawę z tego, że jest zdradzony i prędko umknął do swego domu.

W godzinę później cesarscy siepacze otoczyli dom rzymskiego obywatela, Tyberiusz bowiem przysiągł straszną zemstę temu, który popsuł mu całą ulubioną zabawę.

Przysiągł, że ci wszyscy, którzy byli wmieszani w spisek Paetusa muszą oddać swe życie, a jego samego zmusi torturami do odkrycia innych spiskowców.

Obywatel miał piękną młodą żonę Arrie.

Kiedy usłyszała o niebezpieczeństwie swego męża i jeszcze większej zgubie jaka grozi współobywatelom w razie zdradzenia ich przez jej męża, przybiegła do niego wręczając mu ostry sztylet by pozbawił się życia.

Mężczyzna, który sto razy już zaglądał śmierci w oczy i który w bitwach często się narażał, stał teraz skulony i drżąc cały wypuścił sztylet z ręki. Nie miał siły wbić go w serce swoje. Widział koło siebie piękny ruchliwy świat, uśmiechające się niebo, falujące życie, nie miał odwagi zejść do zimnego grobu.

Z zewnątrz najemnicy Tyberiusza wyłamywali już drzwi.

Wtedy Arria podjęła sztylet opuszczony przez męża i najpierw wepchnęła go we własne serce a potem podała jemu.

— Śmierć nie jest bolesną, Paetusie — mówiła uśmiechając się; po chwili zmarła.

Za chwilę krew ich serc zlała się w jedną kałużę.

Ich dusze razem uleciały do odmętów Styksu.

Taką śmierć miała Arria.

Jan Bolesław Ożóg

W złą noc

W złą noc — ulewa — głodny dom,
łakomie drzewa ssały okap.
Polizał nieba jeden grom,
odstęknęła ziemia głęboka.

Na pańskie okna — w bar — żydowi
boczył się siekierą próg.
Zabeczała żałośnie w sieni krowa,
grała drabinka żeber z mchu.

Do P. T. Czytelników

Początkowo czasopismo nasze ukazywać się miało pod nazwą „GŁOS AKADEMICKI" jako pismo literackie młodzieży akademickiej.

Wobec rozszerzenia jednak zakresu spraw, które będziemy poruszać w naszym piśmie tytuł „GŁOS AKADEMICKI" okazał się nie odpowiedni, dlatego zmiana tytułu stała się konieczną.

Redakcja

M. Dyląg (Kraków)

Cele i zadania estetyki

Największą zasługą greckiego narodu było skrystalizowanie pojęcia piękna. Sokrates i Plato, swem badaniem poznania piękna, położyli podwaliny nauce, która zwie się estetyką. Odtąd wszyscy filozofowie i uczeni, a zaraz po nich Arystoteles, zastanawili się nad istotą piękna; czy tkwi ono w umyśle twórcy, lub obserwatora — czy też posiada byt samoistny — czy, wreszcie, należy do objawów subjektywnych, czy też objektywnych?

Grecy wyznawali zasadę: Sztuka jest naśladownictwem natury, a Plato wnioskował stąd: Ponieważ tak zwana rzeczywistość natury jest cieniem prawdy, to jest idei którą poznaje filozof, przeto sztuka jest cieniem cienia, przeto wobec prawdy przedmiotem godnym pogardy. Dlatego też Plato lekceważył sztuki.

Wówczas kiedy Plato rozwijał sokratesową naukę o pojeciach, oparł Pytagoras matematykę na podstawach ściśle umiejętnych. Liczbę podniesiono do rzędu boskich zasad. Figury geometryczne uważano za wcielone ideały. Koło i kula są, jak z zachwytem głosił Plato — najdoskonalszym wyobrażeniem własnej idei. Były one dla niego ideałami „trwałej piękności". Naśladowanie, osądził Plato, jest gorszem od wzoru.

Tak więc pojęcia, które nie są pojedyncze, ani bezwzględne, ogłoszono za absolutne. Jest to oczywiście doktryna, która przekonanie swoje, t. z. względne poznanie, stawia na miejsce stwierdzonej rzeczywistości. Walkę z doktrynerją Platona, także na polu estetyki, podjął Arystoteles, która to walka wobec trudności i zawiłości zagadnień, trwa do dzisiaj. Nie dalej poszedł i Arystoteles, który twierdził, że punkt ciężkości spoczywa nie w twórcy, lecz w modelu.

Życie przejawia się w perjodycznej zmianie zjawisk, w ich mnogości i rozmaitości nastrojów. Sztuka odtwarza pojedyncze zjawiska, utrwala kształty zarówno zewnętrznego jak i wewnętrznego życia. Wielka sztuka nigdy nie jest fotografią natury. Duch twórcy szuka bytu poza obrębem fałszywej rzeczywistości. Szuka pojęcia, któreby kojarzyło te dwa odrębne pierwiastki, rzeczywistość zmysłową i duchową; to pojęcie jako rzeczywistość duchowa staje się ideą. Idea rzeczy jest własną jej istotą, z której rodzą się rzeczy zmysłami obejmowane. Tymczasem Arystoteles odejmował twórcy możność poznania prawdy duchowej a żądał tylko prawdy zmysłami obejmowanej.

Poezja i gusła wieków średnich w których obyczaje tchnęły szałem i butnością często bezrozumną, nie wniosły do sztuki nie tylko że nic nowego, lecz dały jej podkład źle pojętej moralności.

Renesans był „lux in tenebris" w sztuce. Okazała się potrzeba zrewidowania swych pojęć o pięknie a zatem i estetyce. Dla zilustrowania poglądów, które rozświetliły horyzont sztuki, przytoczę tutaj słowa wielkiego Michelangelo. „Dobry malarz winien malować dwie rzeczy główne, to jest człowieka i myśl jego ducha".

Wreszcie na firmamencie nauki i sztuki zjawiają się ludzie, jak Lebnitz, Wolf, Lessing, Montaigne, Kant przeciwstawiający sceptycyzmowi swój krytycyzm i prawo rozumu. Innymi drogami poszli Fichte i Schiller i ich idealizm zmieniający w genialne „ja" Fryderyk Schlegel. St. Beuve, Hartmann, Teine, Veron, John Ruskin, Schopenhauer, oto kilka nazwisk ludzi wytykających nowe kierunki sztuce

Hipolit Teine uważał estetykę jako naukę o sztuce, ale odrzucał pojęcie piękna jako jej fundament a zajmował się sztuką tylko jako manifestacją umysłu artystycznego. Cały rozwój pojęć estetycznych we Francji poszedł tym torem z tą różnicą że dla jednych estetyka jest nauką o smaku, dla drugich logiką fantazji, dla innych wreszcie zadaniem estetyki jest oznaczenie pięknych stosunków formy.

Tak więc zaczęto teraz dzielić ducha od formy. Formę zaniedbano w sztuce romantycznej, której chodziło tylko o myśl. Powstało stąd że sztukę sądzono prawidłami filozofji. Było to o tyle słusznym o ile szukano w niej głównie idei. Wtedy jako reakcja powstał nowy kierunek, którego głównym przedstawicielem był C. F. Ruchner, a który o ideowym opracowaniu estetyki nie chciał słyszeć. Umysły bowiem raz wyzute z pierwotnej naiwności, a którym pokazano nowe drogi abstrakcji za wiele zważały na ideę, za mało na zjawisko. Fryderyk Vischer twórca rozległej estetyki uzasadnił system swego mistrza Hegla o wiele ściślej i z zupełnie innym skutkiem. Gdy u Hegla piękno w swym rozwoju dziejowym tkwi prawie ciągle w symbolu, u Vischera idea wyswabadza się z symbolu i każde zjawisko piękne uchodzi za pełny wyraz urzeczywistniającej się w nim idei.

Inny kierunek wyobraża Maurycy Carrière. Z heglowskiego panteizmu wraca znów do teizmu. Szukał on Boga w historii a przedewszystkim w sztuce.

Karol Lemcke stara się zaznaczyć że piekno stanowi najdoskonalszy wyraz zjawiska, wszakże nie wypełnia sobą pojęcia estetyki i dlatego twórczość artystyczna człowieka nie zamyka się w granicach piękna, lecz obejmuje cały obszar zjawisk wraz z ich oddziaływaniem na nas, o ile posiadają odpowiednią moc estetyczną i budzą zajęcie.

Tak więc w różnych epokach i czasach, różną była wrażliwość na sztukę i różnemi były prawidła, któremi się rządziła. Pod tym względem najwyżej stała epoka fin de siècle.

Życie nasze, jego radość i ból, opiera się na wrażeniach zmysłowych.

Zmysły nasze, wyższego rzędu, posiadają moc wyobraźni a tym samym możność reprodukcji doznanych wrażeń. Wszystkie zmysły muszą w zakresie wyznaczonej im sfery działania ulegać podnietom, organy stale nie podniecone przestają funkcjonować. Fizyczny i fizjologiczny charakter wrażenia, stanowi podstawę estetycznego upodobania. Wrażenie potrąca o organ zmysłu i odczute jest przyjemnie lub nieprzyjemnie, a skojarzone z ideą, objęte w pewną treść, oddaje duchowi. Wszakże jeżeli z wrażenia ma się urodzić myśl, to zmysły i duch powinny sciśle odpowiadać sobie. I tak też radość i ból naszej istoty fizyczno-duchowej wpływa na cały nasz stosunek do świata zewnętrznego, oceniamy go też (świat zewnętrzny) miarą podmiotową.

Sztuka, podobnie jak życie ma kształty zbliżone tylko do ideału: absolutna doskonałość jest, jak powiada Plato, tylko u Boga. My dążymy tylko do doskonałości, a dążenie to objawia się w umiejętności, życiu i sztuce. Umiejętność podaje nam ogólne, powszechne prawidła abstrakcyjne rządzące zjawiskami. Zycie przejawia się w ciągłej zmianie zjawisk. Sztuka przedstawia pojedyncze zjawiska i nosi na sobie piętno duchowe wyobraźni. Dlatego też sztuka wolną jest od przypadkowości, która cechuje rzeczywistość.

Ten wrodzony człowiekowi pęd ku doskonałości każe mu w sztuce szukać ucieleśnienia najwyższych ideałów. Osiągnięcie ideałów cechuje złote wieki w życiu sztuki i narodów.

Nad tym wszystkim co brzydkie i złe, co twarde i okrutne możemy ulatać na skrzydłach sztuki. Jeżeli celem ludzkości jest wznoszenie się ponad poziom pierwotny, nad poziom brzydoty i fałszu, ponad to wszystko co życie robi męką, jeżeli walka o wyższe ideały ludzkości jest naszym obowiązkiem, to sztuka wśród zamętu tej walki dzierży pierwszeństwo. I jak mówi Lemcke: „Trzeba stopami dotykać zawsze twardej ziemi, ale mieć skrzydła upięte na ramionach i wiedzieć, jak się niemi pławić po błękitach, nie tracąc z oczów szarych nizin rzeczywistości. Ich szarzyzna to tylko złudzenie: naprawdę tam jest tylko barwa, ruch i zdrowie, tam jest życie".

Ferdynand Ruszczyc

1870 – 1936

Wysł. pośm. w krak. Pał. Tow. Sztuk Piękn.

W chaosie kierunków i bezkierunkowości sztuki, w zamęcie najdziwaczniejszych eksperymentów i poszukiwań zapomniano o Artyście, który szczerze i poprostu był sobą.

Ruszczyc stoi na uboczu w walce o „nową sztukę", zdala od dialektycznych sporów. Tworzy nie zastanawiając się nad wymaganiami „ducha czasów". On wie, że jedynym wymaganiem stawianym artyście, jest wymaganie jego własnego ducha, który staje się duchem wszechczasów. Ruszczyc to artysta z krwi i kości, nie jakiś tam utalentowany, estetyzujący inteligent zachwaszczający dzisiaj wszystkie dziedziny sztuki — zarówno malarstwo jak literaturę, muzykę i rzeźbę. Rozwój intelektualizmu pociągnął za sobą zastraszający napływ miernot, które doszczętnie wyjaławiają biedną sztukę polską. Przeżywa ona okres dewaluacji, gdyż w obiegu są fałszywe banknoty i falsyfikaty. W dzisiejszych czasach możnaby rzec, że sztuka nie istnieje — bo cóż ma być kryterium naszych sądów, gdy zerwaliśmy z tradycją? Dziś każdy kierunek ma swego antypodę. Co to jest sztuka? Mamy talenty, sztukmistrzów zdumiewających nas żonglerstwem swych figuralnych, geometrycznych czy kolorystycznych kompozycji. To samo dzieje się w poezji, literaturze, muzyce. Forma! Wszyscy artyści, poeci, łamią sobie głowy nad wynalezieniem nowej, rewelacyjnej formy.

Lecz czasem do głosu dochodzi i treść. Zasępiają się wtedy czoła. Bo oto coś nie-nowego — coś innego! — coś, co bierze, co zamyka usta i każe kontemplować. W tym jest sztuka, bo w tym jest indywidualność, która nabrzmiewa treścią Szukać nowej formy to tylę, co pragnąć by nasze garnitury chodziły, gdy nas w nich niema. Stara czy nowa forma żyje, gdy my w niej żyjemy — upada, gdy nas w niej niema.

Dzieła Ruszczyca są legendą o ziemi. Artysta wniknął w jej misteria i opowiada nam jej bohaterskie wewnętrzne dzieje.

Surowość, moc i powaga towarzyszą tej pięknej i wiecznej legendzie.

Z. K.

O Zdzisławie Przebindowskim

Na ostatniej wystawie w Pałacu Sztuk Pięknych pokazał Z. Przebindowski dość obfitą liczbę swych prac. Pomimo młodego wieku artysta wykazuje dojrzałość opanowania rzemiosła malarskiego. Posiada więc najważniejszy warunek do swobodnego objawiania swych przeżyć artystycznych. Podstawą tychże jest dla niego przyroda i nic więcej. Zajmuje go przedewszystkiem malarska wartość natury. Widać jak z niezwykłą wprost radością wnika w drganie powietrza przenikniętego słońcem. Cieszy go chybotanie plam barwnych osiadłych na drzewach, domach czy ludziach. Osłonieczniony, kolorowo oślepiający śnieg, raduje go niepomiernie. To piekno wesoło lub pogodnie oświetlonej ziemi wyraża tonacjami rozjaśnionemi.

Świeżości nadaje jego pracom lekkość rysunku, jak i nonszalancja rzucania plam. Powoduje to przezieranie białego gruntu, co całości nadaje jednak swoistą czystość. Gdy popatrzymy się w końcu, ogólnie na twórczość Przebindowskiego, nazwiemy go chyba radosnym chwalcą przyrody.

Należy przytem do wysokiego gatunku malarzy, o czym świadczy fakt wyróżniania się jego obrazów wśród prac, razem z nim wystawiającej grupy warszawskich artystów, jak i związku grafików krakowskich.

T. Brz.

Wystawy w krakowskim Pałacu Sztuki

Obok dwu wystaw zbiorowych, o to **Zofji Albinowskiej - Minkiewiczowej** ze Lwowa i **Władysława Łopuszniaka** z Krakowa, oglądaliśmy na wystawie w krakowskim Pałacu Sztuki bogatą i różnorodną wystawę w której w przeważnej części brali udział krakowscy artyści zazwyczaj dotąd majoryzowani na wystawach w gmachu T-wa P.S.P. przez malarzy z innych miast Polski.

Zofia Albinowska - Minkiewiczowa nie wykracza w wystawionych pracach poza dziedzinę studium kwiatów, martwej natury, pejzażu i wnętrz architektonicznych, bardzo mądre przestrzeganie granic w rodzaju swego talentu. Toteż w tym ograniczeniu tkwi przyczyna jej pięknych sukcesów artystycznych. Silnie odczute obrazy tej wysoce utalentowanej artystki są pełne świeżości i kolorystycznego wdzięku. Widać z nich, że artystka upojnie rozkoszuje się barwą; malując spokojnie w opanowanej technice olejnej potrafi zwłaszcza w kwiatach wydobyć całą symfonię kolorów, ujętych w wykwintną i umiejętnie stonowaną gamę.

Łopuszniak Władysław, wychowanek krakowskiej Akademii S. P. wystawił blisko 30-ci obrazów olejnych, w których wypowiada swą niezwykłą zdolność naginania wnikliwie odczuwanej rzeczywistości do potrzeb kompozycyjnych, nie interesując się suchą przedmiotowością w malarstwie. Wyraźną ewolucję widać u tego świetnie się zapowiadającego artysty, hołdującego wyraźnie modernizmowi, w dążności do świeżości kolorystycznej i łączenia formy z kolorem w jedną dobrze związaną całość. W pięknym dorobku artysty ostatnich lat na wyróżnienie zasługują zwłaszcza portrety i kompozycje figuralne.

Na wystawie tej oglądaliśmy kilkaset obrazów których autorami są przeważnie malarze krakowscy. I tak: **Chlebus J.** wystawił studia kwiatów i pejzaże o traktamencie realistycznym i nastrojowy pejzaż, **Chomicza W.** pt. „Zmierzch w górach", potraktowany dekoracyjnie, jest utrzymany w wykwintnej gamie kolorystycznej i przytłumionych, gobelinowych tonacjach. **Filipkiewicza Mieczysława** (brata Stefana, prof. Akademii S. P.) pejzaże tchną realizmem i bogatą skalą tonów, akwarelowe pejzaże z Beskidu **Jacka L.** ujmują szczerością uczucia i prostotą faktury, **Kałuski Z.** uderzył w nutę folkloru bronowickiego stwarzając świetny typ „gospodyni wiejskiej". **Karpiński A.** w studium „głowa kobiety" utrzymanym w wykwintnej tonacji barwnej wykazał całe mistrzostwo swej faktury, **Karszniewicz J.** w pejzażach i studiach wnętrz jest jak zawsze, szczery i bezpośredni; **Książka J. Szcz.** pejzaże i martwe natury są malowane z kulturą malarską. Na wystawie wyróżniają się wybitnie obrazy olejne **Orackiego Serwina Mieczysława** (portrety, akty, pejzaże). Podobny nieco w fakturze do swego ojca, **Serwina Bogusława**, świetnego kolorysty, maluje świeżo, soczyście, samodzielnie rozwiązując problemy malarskie z wielkim poczuciem kolorystycznym i ujmującą bezpośredniością w obserwacji natury. Portrety i akty maluje ten wysoce uzdolniony artysta śmiało. komponuje je w doskonałym zwartym układzie i wyposaża w dobitną i jędrną charakterystykę. Do wybitniejszych obrazów na wystawie zaliczyć także należy pejzaż **Polikta H.** pt. „Wawel we mgle" traktowany impresjonistycznie którego urok polega na subtelnym zestawieniu plam barwnych, utrzymanych w przytłumionych fioletowanych tonach. **Rychter-Janowskiej Br.** pięknie ujęte motywy architektoniczne z Krzemieńca wykazują całą subtelność traktamentu tej wykwintnej artystki.

Ponadto wystawiali: **Bryndza-Ziermitrud A.** („Pastorałki"), **Daniel-Kossowska St.** („Pobożna"), **Jaxa-Małachowski Soter** (motywy morskie), **Korpal T.**, **Mróz-Łękowski T.** (szczerze wyczute i świetnie malowane pejzaże z Podhala), **Orszulski R.** (martwa natura, akt). Pejzaże na poziomie wystawili: **Orwicz St.**, **Paciorek St.**, **Rubczak J.**, **Serwin Bogusław**, **Szczerbiński T.**, **Śliwka** z Zakopanego, **Uziembło H.** (typy ludowe

i pejzaże) **Żurawski St.** (pełne kolorystycznych zalet pejzaże i akty) **Łusek Wł.** inni. Z poza krakowskich artystów należy wymienić wśród wystawców takie wybitne i dobrze znane naszej publiczności nazwiska jak: **Jakimczuk A.** z Poczajowa, **Karolak Z.** z Kalisza, **Sinaiberger F.** ze Skoczowa i **Mokwa z Gdyni.** — Wystawy dopełnia rzeźba i grafika członków krakowskiego Związku Artystów-Grafików. Należy z uznaniem podnieść, że stowarzyszenie to, skupiające najwybitniejszych artystów grafików krakowskich, z powodzeniem przyczynia się do urozmaicenia i wzbogacenia wystaw w gmachu T-wa P. S. P., z pracami swych członków i szerzy skutecznie zainteresowanie i zrozumienie wśród szerokiego ogółu społeczeństwa dla sztuki graficznej, która przecież w niczym nie ustępuje obrazom olejnym, pastelowym, akwarelom, czy rysunkom.

Dr. St. M.

SPORT

Władysław Rzepka (Lwów)

Rozważania optymisty

Wstąp do AZS-u i pokaż swą sprawność a ocenię czyś godzien nosić miano akademika.

Gdyby ktokolwiek zadał sobie trochę trudu i przeprowadził dokładną analizę światowych zawodników exportowych, a więc tych, którzy swoją formą, techniką i osiąganemi wynikami zakwalifikowali się do elity sportowców danego państwa i są reprezentantami swego kraju na zawodach międzynarodowych, doszedłby niewątpliwie do ciekawych rezultatów, zwłaszcza, gdyby w programie tej sekcji uwzględnił jeszcze rodzaje sportu, warunki kulturalne danego państwa, a może nawet warunki w jakich poszczególne działy sportu są w tem państwie uprawiane i przez sportową publiczność oceniane.

Segregacja zawodników według działów sportu doprowadziłaby do stwierdzenia, że konkurencje wymagające od zawodnika wybitnej techniki są prawie wyłączną domeną inteligencji, zaś w tych działach sportu, w których potrzebna jest naturalna siła człowieka, występuje częściej człowiek pracy.

Nie znaczy to jednak, by ludzie pracy nie próbowali swych sił we wszystkich działach sportu, wręcz przeciwnie nawet, uprawiają i bardzo często osiągają wspaniałe rezultaty nawet w tych konkurencjach, które wydają się dla nich mało dostępne.

Jeśli pozwoliłem sobie na takie twierdzenie, to nie chciałbym być źle zrozumianym o rzucanie haseł skrajnych, streszczających się w słowach: „ty robociarzu nie pchaj się np. do tenisa, bo to domena świata kultury", wręcz przeciwnie, ja twierdzę, że tak długo nie będziemy mogli mówić o usportowieniu całego kraju, dopóki każdy najciężej nawet pracu-

jący robotnik nie zrozumie idei ruchu fizycznego i nie przekona się na sobie, że każdy dział sportu może być antidotum dla jego warunków codziennej pracy i wiele wad organicznych nabytych w nienormalnych warunkach pracy, będzie mógł drogą przez sport całkowicie usunąć lub przynajmniej w znacznym stopniu zneutralizować.

Postawmy jednak dwóch ludzi równych warunkami fizycznemi i wiekiem, jednego w pełni inteligentnego, drugiego zaś przeciętnego robotnika i poddajmy ich próbie w jednakowych warunkach. Wynik nie da na siebie długo czekać, bo prędko przekonamy się, że z tych dwóch, inteligentniejszy prędzej nabędzie potrzebne mu wiadomości i osiągnie rezultaty swej pracy. Ale nietylko prędzej dojdzie do wyników, ale jeszcze nabędzie lepszej techniki.

Już jednak to „prędzej" decyduje o tym jak będzie się rozwijała ich kariera sportowa, gdy bowiem opierając się na podanym wyżej przykładzie, będziemy szli po tej linii, to zawodnik inteligentny powiedzmy po 5 latach dojdzie do szczytu formy, podczas gdy pozostały zużyje na to np. 7 lat, a jeśli zaczęli w jednym wieku, to nie trzeba wykazywać, że łatwiej wykonać dane ćwiczenia zawodnikowi np. 27 niż 29 letniemu. W tem przeto tkwi podstawa mego twierdzenia, tu leży jego argumentacja.

Tak jednak jest tylko w teorii. W praktyce gdybyśmy obserwowali tych samych dwóch wybranych zawodników, to poczynilibyśmy jeszcze inne spostrzeżenia, stwierdzilibyśmy pewnego rodzaju wyrównanie szans między nimi wskutek zapału z jakim obaj zabiorą się do ćwiczeń.

Inteligentnego zawodnika cechuje normalnie pewne lenistwo, ociężałość, a po pewnym czasie nawet zniechęcenie, o ile szybko nie dojdzie do wyników swej pracy. Jednym słowem, zawodnik taki ogarnięty jest słomianym zapałem, który — o ile uzyskiwane wyniki nie będą zachętą — prędko gaśnie.

Inaczej do sportu zabierze się człowiek mniej inteligentny, bo on zgóry zdaje sobie sprawę, że tylko drogą systematyczną dojdzie do wyników, jest więc bardziej stały, może nawet zacięty w swych zamierzeniach i choć powolej, ale konsekwentniej dochodzi do celu.

Tą systematycznością i zaciętością w pracy, tym konsekwentnym dążeniem do celu góruje nad inteligentnym i wyrównuje szanse na osiągnięcie tych samych rezultatów. Oczywiście możnaby jeszcze na ten temat wysuwać cały szereg argumentów za i przeciw, możnaby badać przyczynowość tego, w sporadycznych wypadkach możnaby dojść nawet do innych rezultatów, wyprowadzić z tych badań inną jeszcze teorję, praktycznie jednak twierdzenia tego nie obali, mimo, że zdajemy sobie sprawę, że ten zapał słomiany u zawodników inteligentnych jest złem, które powinno być usunięte.

Dokończenie w nast. numerze.

Raid polskich motocyklistek przez południową i środkową Europę



Ilustracja powyższa przedstawia młodą krakowską motocyklistkę p. Irenę Łatasówną na starcie wyścigu motocyklowego w Bielsku. P. Łatasówna w lecie b. r. wybiera się na raid turystyczny przez Rumunię, Jugosławię, Włochy, Francję, Belgię i Niemcy. Trasa raidu jest bardzo ciężka i długa, wynosi kilka tys. km.

P. Łatasównej w raidzie towarzyszyć będzie druga polska motocyklistka p. Hilda Szusterówna z Bielska. Raid odbędą obie Panie na polskich motocyklach „Sokół“ ktore już nieraz wykazały swą wysoką klasę. Obie nasze motocyklistki, choć są bardzo młode, mają już duże doświadczenie i rutynę sportową. Życzymy powodzenia i cieszymy się, że rozsławiać będą zalety naszych motocykli poza granicami Polski.

P. Łatasówna obiecała redakcji naszej przesyłać reportaże z raidu — a więc czekamy! *X.*

Nie zawsze cel uświęca środki.

W ostatnim numerze mało znanego czasopisma „Młoda Awangarda“ pojawiło się oszczercze „ostrzeżenie”. Zbyt grubymi nićmi szyta była cała ta sprawa, by właściwy cel tej insynuacji pozostał ukrytym. Chodziło poprostu o poderwanie zaufania do naszych delegatów. Mimo, że dobrze znany jest nam dwulicowy charakter tego pisma, **które celowo w chęci zysku wprowadza społeczeństwo katolickie w błąd głosząc katolickie i antysemickie hasła — a równocześnie za żydowskie pieniądze zachęca to społeczeństwo do zakupów w żydowskich firmach ogłaszających się w „Młodej Awangardzie“ jak np. Chlorodont, Delka, Suchard, Reches i w. i.** co udokumentować możemy sporym materiałem, za napaść nie odpowiemy napaścią, bowiem tego rodzaju metody są nam w zupełności obce.

Poprzestaniemy jedynie na stanowczym stwierdzeniu że:

1) treść tego „ostrzeżenia“ nosi znamiona przestępstwa karalnego

2) w wypadku pojawienia się w przyszłości podobnych „enuncjacji“ łatwo znajdziemy właściwą drogę i bez wahania wyciągniemy wszelkie konsekwencje.

W każdym razie redakcja „Młodej Awangardy“ sprawiłaby nam wielką przykrość gdyby zmusiła nas do napisania słów paru o obecnym charakterze jej pisma i jego żydowskich współpracownikach albowiem prawdą jest, że o rzeczach brudnych i brzydkich mówi i pisze się z niechęcią. — Narazie tyle. *R.*

Kącik humoru



. . . . tegośmy jeszcze nie rozstrzelali !

Megalomania

Matka (z dumą) do sąsiadki

— Mój syn nie będzie nigdy człowiekiem prostym!

— Dlaczego?

— Bo jest garbaty.

Meloman

— Zauważyłem, że na ostatnim koncercie siedział pan nie w sali, lecz w przyległym pokoju. Czy stamtąd było cośkolwiek słychać?

— Owszem, ale trzymałem drzwi szczelnie przymknięte

Roztargnienie

Pewien starszy pan był zaproszony na obiad do znajomych i przez roztargnienie przy końcu obiadu zapomniał że on jest gościem, a nie gospodarzem u siebie w domu. Wstał i rzekł do zgromadzonych — Przepraszam za tak skromny obiadek.

Redaguje młodzież akademicka.

Wydawca: *Adolf Gawalewicz* Redaktor odp.: *Kazimierz Ropelewski*

Prenumerata roczna z wysyłką pocztową: **8 zł.**
łącznie z artystycznymi dodatkowymi wkładkami jak: oryginalne wielobarwne drzeworyty, miedzioryty, akwaforty, rysunki **15 zł.**

Dla młodzieży akademickiej przy odbiorze w administracji o 50% taniej.

Ceny ogłoszeń: Cała strona 200 zł. 1/2 str. 120 zł. 1/4 str. 70 zł. 1/8 str. 40 zł. 1/16 str. 20 zł.

Redakcja i administracja: Kraków ul. Jabłonowskich 7/4

Godz. urzędowe od 3 — 7.

Nacz. redaktor przyjmuje codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od 3 — 4.

Rękopisów nie zastrzeżonych nie zwraca się.

Przedstawicielstwo Redakcji w Stanach Zjednoczonych A. P.
Redaktor Olga Samborska 3220 W. Thomas Street Chicago-Illinois U.S.A

Drukarnia Mieszczańska Teodory Bończa-Tomaszewskiej Kraków Dolne Młyny 3.